



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

## WYCHOWANIE CÓREK.

— Czem wychowanie ma uczynić córki nasze? to pytanie, z którego pedagog francuzki Gasseron czyni tytuł książki, poświęconej kwestyom obowiązków, zadań kobiety w rodzinie i społeczeństwie. Jak w ziarnie tkwi już roślina cała, tak w dziecku kryje się człowiek przyszły, i zadaniem wychowania jest przede wszystkim skłonności, zdolności jego szlachetne rozwijać, złe zasady, pożądaną samolubne przytłumiając i dając ujście dobre siłom tak ducha, jak ciała. Staranie o zdrowie, o należyty rozwój fizyczny, to pierwszy obowiązek wychowawców — obowiązek bardzo ważny, bo jeżeli nie zupełną prawdą jest ta stara maxyma łacińska, że w zdrowym ciele duch zdrowy, musimy się zgodzić na to, że siła fizyczna staje do pomocy siłom ducha w praktyce życia, w wykonywaniu jego obowiązków i tych prac różnych, które drogi istnienia naszego równają. To, co jest moralną podstawą wychowania: miłość prawdy, pragnienie dobra, dążenie do ideału, nakazujące nam podnosić wzrok ku górze i nie przyrość całkowicie do ziemi, jest w zasadzie wspólne wychowaniu tak mężczyzny, jak kobiety; że przecież życie w zakresie praktycznych zadań swoich wymaga podziału pracy, że nakazują to różnice, tak sił, jak i uzdolnień, skłonności mężczyzny i kobiety, zatem i wychowanie, przygotowujące do tego życia w rodzinie i społeczeństwie, musi być innem dla płci każdej. Gasseron zaczyna rozumnymie książkę swoją rozdziałem: „Kobieta w dziecku; ostrzegając przytem przed wadami, mogącemi się rozwinąć szczególnie w kobiecie, stawia na pierwszym miejscu próżność, która bardzo wczesnie, wcześniej niż w mężczyźnie, odzywa się w kobiecie, przecież nie wskutek naturalnego u-

sposobienia, ale wskutek okoliczności wytworzonych przez życie.

Już Fenelon zwracał na to uwagę: — Nieczego więcej nad próżność nie lękajcie się dla córek waszych...—wołał na matki, dodając zarazem, że skutek to jest zamknięcia przed kobietą tych dróg różnych wyższego czynu, chwalebego odznaczenia się w społeczeństwie swoim, które otwarte są dla mężczyzny, co przecież jest zdaniem mylnem i w stosunku do życia nieprawdziwym, bo tak wtedy, jak obecnie, jak zawsze, miała kobieta przed sobą wolne pole działalności pożytecznej i niemniej, jak mężczyzna, dostojnej. Trzeba tylko, aby głębsze spojrzenie w życie, doskonalsze jego zadań pojęcie dało jej poznać ważność tych prac, tych obowiązków, które, spełniane wtedy z rozumną świadomością ich znaczenia, podniosą się w dostojności swojej, nie tylko w przekonaniu kobiety samej, ale i jej powszechności.

Skoro tylko kobieta umie czuć i myśleć podniosłe, znajdzie sobie zawsze odpowiadającą temu nastrojowi drogę czynu, a życie samo nastroczy jej sposobność, co przecież jest zdaniem mylnem i dana, tak matkom, jak wychowawczyniom, przez pisarkę francuzką, de Remusat: „W wychowaniu mniej ważną rzeczą jest nakazywane spełnianie czynów dobrych, niż rozbudzone tego pragnienie. Tak dla godności osobistej istoty młodej, jak dla zapewnienia jej przyszłości, jest to grunt najpewniejszy.“ Turgot miał to samo na myśli, pisząc, że despotycznie, absolutnie przeprowadzana praktyka cnót przedstawia się młodzieży jako jarzmo, które dlatego już, że jarzmem jest, zrzucić pragniemy. Rozwijając cnoty, wiodące do szlachetnych dążeń, dawać ujście porywom uczuć dobrych, uczuć wzniósłych, przez ułatwioną do tego sposobność, przez sposobność tej wytworzenie, — jest to powiew, zapewniający przyszłość życia, żniwo cnót najobfitsze, i dlatego też należy wychowawcom pamiętać, że w dziecku najmłodszym jest już człowiek z pewnymi skłonnościami, z pewnym nie-

zawisłości pragnieniem. Nie dopuszczając samowoli przez wyrobienie posłuszeństwa dla praw i nakazów osób starszych, przedstawiających władzę, trzeba przecież szanować indywidualność istoty młodej i nie wydierać jej tego, co ze sobą jako obdarowanie ducha swego przyniosła. Wychowawcy powinni zbadać uważnie: czego żądać mogą, zanim to żądanie postawią, i autor stawia też przed czytelnikiem swoim pytanie: do czego zdolną jest kobieta?—„Que vaut la femme?“

Angielski myśliciel Mill uznaje najzupełniejszą równość umysłową płci obu we wszelkich kierunkach i na wszelkich kierunkach tych stopniach. Inny uczony Anglik, lekarz z zawodu, Henryk Maudsley, w dziele swoim: „Sex in Mind and Education“, kładzie, przeciwnie, nacisk wielki na różnice, które wytwarza już natura sama przez fizyczny ustrój kobiety i mężczyzny. — „Sex lies deeper than culture...“—pisze, dowodząc następnie, że różnica zadań i prac życia musi odpowiadać różnicom fizycznym, które z konieczności stanowią podstawę wywarcia sił w zawodach twórczości wszelkiej. Można by zapisać tomy całe rozprawami ścierających się tu zdań, bez żadnej przecież, jak sądzi autor, korzyści dla kobiety, dla społeczeństwa. Harmonia wytwarza się z tonów różnych, zlewających się ze sobą według praw tego porządku, który jest dopełnieniem się wzajemnem żywiołów rozmaitych, potrzebujących tego, aby piękno i dobro uwydatniło się przez różnice wdzięku, uroku swojego. Wady i cnoty ogólnie ludzkie przybierają tu jedynie formy różne, pod którymi, tak kobieta, jak mężczyzna, działa wśród społeczeństwa i ślad działania tego na drogach wspólnego życia zostawia. Wpływ kobiet, pośredni, czy bezpośredni, jest niemniej wpływem, zaznaczającym się w życiu jednostek, w życiu narodów. Autor francuzki, wyrażając się podobnie jak nasz Krasiecki: „My rządźmy światem, a nami kobiety...“ wykazuje jak wpływ kobiet zaznacza się silnie we wszelkich wypadkach historii świata.

Helena zapala pożar wojny, która staje się zniszczeniem Troi; Kleopatra pozbawia Antoniusza panowania nad światem, tak, jak mityczna, Omfalę każe Herkulesowi przenieść, jak Dalila zwycięża Samsona, pozbawiając go podstępnie siły olbrzymia.

Kobieta słabsza fizycznie działa niemniej w społeczeństwie swoim, w narodzie, nietylko przecież przez ten urok wdzięku swoich, który Homer już, Owidiusz nazywali czarownym darem bogów, a o którym poeta nasz pisze: „Jest światło czarodziejskie, co piękność otacza światłem z nieba odbitem. Tam się przeistacza każda myśl, każde czucie: smutek gorycz traci, wesołość w czarowniejszej wzlatuje postaci...“ Piękność podbija przecież dlatego, że regularność linii, harmonia kolorów zdaje się przedstawiać nazewną to, co, zowiąc się w życiu ludzkim ładem, wytwarza porządek, wytwarza zgodę, bez której niema szczęścia, bo niema spokoju i w wychowaniu cerek pięknych, rodzice dążyć powinni do tego, aby porządek nie był zawodnym; lecz, na nieszczęście, dzieje się najczęściej wręcz przeciwnie. Szczególniej matki widzą w piękności córek tak wielkie uposażenie ich życia, że licząc na to, zaniedbują często rozwijać inne, wyższe i pewniej zabezpieczające szczęście przysioty. Już o wiosnie życia należy kobiecie wiedzieć, że ta piękność, która porównujemy z różą i lilią, panuje krótko i nie podbija stale. Wyraża to dokładnie poeta, mówiąc: „Pokochały się w niej moje oczy...“ trzeba przecież dla szczęścia i godności stron obu aby dodać było można: — „Lecz za tym, wdziękiem, co kochać przymusza, poszło me serce, a za sercem dusza...“ Dać kobiecie pożądaną wyższość, niż piękność obdarowań rozumu i uczucia, jest to dopiero podnieść ją na ten szczybel dostojności ludzkiej, wobec której nie będzie już, nie może być mowy o wyższości i niższości między mężczyznami a kobietą. Te emancypantki, które pragną zatrzeć konieczne tu różnice, które usiłują przedzierzgnąć się nienaturalnie w inną, niżeli są, istotę, te właśnie poniżają kobiecość, bo zapierają się jej, ponieważ danymi jej przymiotami, których znaczenia zrozumieć nie umieją. Kochanowski woła, że dobra żona jest koroną głowy męża; nieznany poeta francuski nazywa ją koroną godną: „Femme bonne, vaut une couronne...“ i inny, wykazując jej znaczenie dla społecznego ustroju rodzin, dla domowych ognisk narodu, pisze: „Maison sans femme, corps sans âme...“

Tutaj też — w domu, w rodzinie, ma ona znaczenie weale od mężczyzny nie niższe, a właściwe zadania jej rosną w godność i wagę przez te cnoty niewieście tkliwości serca, przez siłę uczucia, która czyni z niej mężną, wytrwałą poświęconą małżonkę i matkę — towarzyszkę życia męża, współpracownicę jego trudów i zabiegów, nietylko o ten chleb powszedni, którym wyłącznie człowiek żyć nie może. Wiek nasz zalicza do najważniejszych zadań swoich kwestyą wychowania kobiety, kwestyą jej umysłowego wykształcenia. Francuski pedagog, Gréard, zabiera tu głos między innymi i wykazuje w imię słuszności, w imię sprawiedliwości, iż kobieta powinna być przede wszystkim wychowywana dla samej siebie, to jest dla celów jej własnego szczęścia i godności osobistej, co przecież nie staje bynajmniej w poprzek tej drogi, która wiedzie do spełnienia obowiązków, przypadających na jej dział w społeczeństwie. Trzeba jej być oświeconą i rozumną dla jej własnego szczęścia i godności osobistej, trzeba jej być oświeconą i rozumną jako towarzyszkę życia mężczyzny i wychowawczyni dziecka, jako podskarbinę mienia rodziny, wśród której życie jej jest najszcześniejsze i zarazem najwyższej użyteczne, bo gdzie dziecko nauczy się czuć i myśleć szlachetnie, gdzie mężczyzna, pracujący na niwie obowiązków publicznych, znajdzie wyteńnienie i odpoczynek — gdzie ukrzepi i ogrzeje sobie serce, jeżeli nie będzie obok niego kochanej i kochającej kobiety?

— Ubóstwo ducha jest najwyższą nędzą człowieka... napisała rozumna francuska, M-me de Lambert, i wiek nasz zrozumiał tę prawdę. Nikt już nie pragnie trzymać kobiety zdala od postępu, od zadań czasu, wśród którego żyje, a to nietylko dla jej własnej godności, dla jej własnego szczę-

ścia i praw do światła, które człowiek każdy przynosi na świat ze sobą. — „Największy geniusz, podobnie jak i grunt najżyźniejszy, jeżeli nie będzie uprawionym odpowiednio, rodzi chwasty jedynie...“ powiedział na zasadzie mądrej obserwacji życia myśliciel angielski Hume, i dla tego to, dla tego, aby kobieta, zrozumawszy należycie stanowisko swoje w społeczeństwie, umiała doskonale obowiązków przeznaczenia swego spełniać, powinna być oświeconą, powinna rozumieć „co duch czasu kryje w głębi...“ Czyż kobiety nie tworzą połowy ludności każdego kraju, czyż zatem postęp oświaty, podniesienie duchowego poziomu narodów nie jest związane najsilniej z postępem umysłowego rozwoju kobiety, jej pojęć o życiu i jego obowiązkach? Nie dziś dopiero uznanem i poznaniem to zostało; już Rzymianka była otoczona wysokim szacunkiem swego społeczeństwa dla godności matki i wychowawczyni obywateli rzymskich. U wszystkich narodów oświeconych i rozumiejących znaczenie domowego ogniska, znaczenie wychowania, matka odbierała cześć wysoką. Rousseau już z tego względu wpływ kobiety żądał dla niej wyższej nauki, gruntowniejszego wykształcenia, niżeli to, które za jego czasów odbierała Francuska, i pisał: — „Nie dość odczuwamy znaczenie korzyści, które spłynęłyby na społeczeństwo, gdyby ta połowa ludzkości, która wychowuje drugą, otrzymywała doskonalsze wykształcenie rozumu, więc i serca. Mężczyźni będą zawsze takimi, jakimi uczynią ich kobiety, i jeżeli pragniecie, aby byli cnotliwi i wzniośli, nauczcie kobiety, co jest wielkoduszością, co jest cnotą obywatelską“.

Wybór męża stanowi, nietylko o doli i niedoli istnienia kobiety, ale o jej rozwoju umysłowym, o jej postępie moralnym — o jej życiu ducha. Wychowanie przecież, pojęcie dane jej o życiu, o tem, co jest jego treścią i zasadą, tworzy podstawę, na której opiera się młodość, jeszcze niedoświadczona w tej ważnej sprawie życia. Aby młoda dziewczyna umiała wybierać, aby umiała pokochać dobrze, trzeba, aby wiedziała, co w życiu stanowi podstawę szczęścia, godności człowieka i rodziców. Matkę należy tu czynić odpowiedzialną, jeżeli młodość niedoświadczona pójdzie drogą krzywą.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## TOMCIO I ROMCIO

HUMORESKA

przez

ESTEFĘ.

(Dalszy ciąg).

Tomecio powinien był poczuć żal do pięknej pani za tę niewczesną uwagę, ale on tak był w tej chwili wcielony w brata swego Romana, że uważał tylko rozczulony, nie więcej, i nie spuszczał z oka pani Róży, nie pozwalając, by się jakieś inne wrażenie do serca jej wkraśli, póki bratu swemu nie zwróci praw nad nią, bo tego właśnie żądał od niego Romcio wychodząc.

Pani Róża nie raz padała ofiarą tej bliźnięcej strategii, ale nigdy nie miała się o tem dowiedzieć, bo dyskrecja dwóch braci była zupełniejszą od dyskrecji dwóch wysmukłych smereków, mieszkających na szczycie Tatr niedostępnych.

Jeżeli pani Róży oczy Tomcia potrafiły zastąpić oczy Romcia, to i mama musiała się zadawać widokiem jednego z jedynaków, gdy nie było drugiego.

A ten drugi, choć ojciec jego począł już wymyślać, że się chłopiec łobuzuje, nie łobuzował się weale, tylko się kochał na zabój w kwiatku wiosennym.

Kochając się, rozmyślał: co to będzie, gdy owe pięć reńskich przejdą w dziedzinę wspomnień. Bo, nie mogąc się doczekać na progu swego pokoju

tęgo anioła pocieszyciela w postaci listonosza, który się na kwitku podpisywać każe, aby potem zostawić rozkoszną kopertę z pięciu majestatycznymi pieczęciami, nie mogąc się tedy doczekać tego najszlachetniejszego z synów ziemi, obwiniał matkę swą, że nie rozumiała niemej choć wymownej prośby zawartej w owym extra-serdecznym piśmie.

Nie był bowiem nigdy matką do tej pory a tylko matka zrozumieć może, jak dalece krzywdzące podejrzenie rzucił na swoją rodzinę. Dość, że rzucił, a w przystępie coraz większej trwogi wysłał do brata, do swego drugiego „ja“ alarmującą depeszę, w trzech słowach:

„Przyslij co masz.“

Brat zrozumiał, bo jedną myśl mieli i jedną duszę, ale właśnie dla tego, że tworzyli nie ledwie jedną całość, nie mógł się tym razem różnić Tomecio od Romcia i otelegrafował:

„Nie warto posyłać, bo nie mam.“

To było ciosem dla Tomcia, ale nie miał żalu do brata, bo wiedział, że skoro taka, a nie inna, była odpowiedź to snadź Romcio innej odpowiedzi dać nie mógł.

Że Romcio, aby mu dopomódz, mógł pożytecznie pieniędzy od którego z kolegów, nie przyszło Tomciowi do głowy; od pieluch słyszeli jedno przykazanie, powtarzane zgodnie przez rodziców:

„Nie będziesz się w długi pakował.“

Święte, cudowne przykazanie — które mamy i papy nie dosyć wpajają w uszy synowskie w kraju naszym; a które, raz wpojone obficie owoce wydaje, albowiem chroni synów od zaprzędania dusz swych izraelskiemu Molochowi, pożerającemu z nienasyconym żarłoczstwem ofiary swe za życia.

Otóż Tomecio z Romciem byliby woleli pocałować starą Ruchlę przekupkę w same wąsate usta, niż pożyteczkę zaciągnąć. Dlatego-to pan Tomasz po odebraniu odpowiedzi pana Romana wpadł w najgłębszą melancholię, czarne myśli obsiadły go jak stado kraków i cierpiał, a tylko ci wiedzą, jak cierpiał, którzy ostatnią dziesiątkę z ostatniego reńskiego wydali.

Gdyby zamiary jego były wedle życzenia rodziców, gdyby mu chodziło tylko o spędzenie jakich kilku dni dłużej we Lwowie, to byłby się może odważył napisać do ojca wyraźnie, że mu takiego to a takiego zasiłku potrzeba; ale plany jego choć jeszcze niezupełnie jasno rysowały mu się po głowie, przecież dostatecznie na to, by pojął, że do każdego prędzej, niż do ojca, udałby się z prośbą o pomoc.

Wnuczka ustami babci zadecydowała, że po zwiedzeniu Lwowa czas teraz zwiedzić Kraków, a potem zatrzymać się w Wiedniu jakiś tydzień i zakończyć tę pielgrzymkę w Kwiecniu, kiedy-to ich obecność będzie potrzebna w Koziejnówce, majątku nad Bugiem.

O planach tych wiedział Tomecio; nietylko został w nie wtajemniczonym, ale ilekroć razy Myszka o nich wspomniała, tyle razy podnosiła na pana Tomasza te swoje nawpół smętne nawpół figlarne żrenice i pytała:

„Pan także pojedziesz, nieprawdaż?“

Tomecio byłby wolał poświęcić cały puszek, który mu się obficie wysypał nad ustami w czasie kilku ostatnich tygodni, niż wyznać Myszcze, że się boi papy — a cóż dopiero, że nie ma monety potrzebnej.

Więc nie wyznał nic, — przeciwnie ile razy Myszka pytała: „pan także pojedzie?“

Tomecio odpowiadał: — „Gdzie pani panna Melanio, — tam i ja“.

Babcia miała pana Tomasza za konkurenta zdeklarowanego, — już zasięgnęła języka na jego rachunek, dowiedziała się, że młodzian należy do znacznej i znakomitej rodziny; że się sprawia wzorowo; że się w niem panie trochę zanadto kocha, ale tem większy tryumf dla Myszek; że rodzice jego są majętni, więc i on niezawodnie majętnym będzie — zaraz albo w przyszłości.

Czegóż więcej było potrzeba? — Do tej pory oświadczyć się nie mógł, jeszcze wedle wszelkich reguł; bo dopiero trzy tygodnie temu poznał panią swych myśli, więc babcia nie żywiła najmniejszych pretensyj do niego.

Tem mniej Myszka, która w Tomciu widziała swego dożgonnego przyjaciela; Tomecio brał tak

ze na serio swe konkurry,—tylko nie śmiał pomyśleć jak to papa, a tym razem nawet i mama, zapatrywać się będą na rzecz tę.

Niestety, tam, w Kalinówce, nie miano go za tak skończonego młodzieńca, za jakiego go miała babcia i wnuczka. Wczoraj dopiero dostał pozwolenie na papierosy;—papieros a małżeństwo jeszcze w pewnej odległości od siebie stoją,—więc Tomcio trwogę w duszy zabijał, upajając się co dzień, co godzina słodkim spojrzeniem panny Melanii.

— Panie Tomaszu, jutro jedziemy—rzekła dnia jednego panienka — czy pan jesteś gotów do drogi?

— W każdej chwili, gdy tylko pani rozkazać raczy — odpowiedział pan Tomasz, choć mu głos z trudnością z piersi się wydobywał.

Panna Melania nie postępowała wedle reguł obowiązujących panienki do grania komedii obojętności w chwili, gdy ich serca goreją. Ona o komedii nie miała najmniejszego pojęcia, a przytem uważała Tomcia za swoją własność, którą wolno jej było kammenderować taksamo, jak babcią, potem,—ona czuła, że się nie narzuca panu Tomaszowi i że jemu nawet przez głowę przejść nie może opuścić ją i pozwolić samej jechać.

Miała o tyle słuszność, że Tomcio rzeczywiście buntował się na myśl powrotu do Kalinówki, w chwili, gdy Myszkę w przeciwną stronę podąży.

Buntować się łatwo, ale jak tu zaradzić złemu?

Przecież w kassie nie dadzą mu biletu do Wiednia na kredyt, a na bieytku gonić pociąg kuryerski i uwijać się pod oknami wagonu, z którego się główka panny Melanii wychyla, to rzecz bardzo tentująca i niekosztowna wcale, tylko niewykonalna.

Ostatecznie „czy pan gotów do drogi?“—wywołało w nim formalny uragan sprzecznych uczuć.—Uścisnął rączkę panienki, żegnając ją „do jutra.“

Pod pozorem, że musi załatwić niektóre sprawy i kufer zapakować, powrócił do swego namiotu, rzucił się na ottomanę, która mu łóżko zastępowała w apartamencie przyjaciela, i ukrywając głowę w obu dłoniach, począł się bić z myślami, z których dwie mianowicie, jak natrętne muchy jesienne, najgłośniej brzęczały:

— „Musisz jechać.“

— „Nie możesz jechać.“

Odezwał się dzwonek, po chwili wszedł przyjaciel do pokoju, w którym się ta tragedia wewnętrzna odgrywała.

— Tomciu!

— He?—pytał głosem złamanym bohater, nie zmieniając pozycyi.

— Coż u licha! Czyś zjadł co niezdrowego, że się tak wijesz?

— Zjadłem, do stu dyabłów!—daj mi pokój.

— Jeżeli zjadłeś, to ci nie dam pokoju, ale kieliszek anyżówki: pyszna rzecz na takie dolegliwości.

— Do krośet! Proszę, zostaw mnie w spokoju, bo mnie wszyscy dyabli wezmą.

— Ba! niema o to kłopotu. Coby z tobą robili?

Pan Tomasz rzucił się na ottomanie, jak karp na piasku a Wacek, przyjaciel jego serdeczny, przestraszył się, ujrawszy te oczy podsiniałe i ten rozpaczliwy wyraz twarzy.

— Tomciu—rzekł znowu—tyś naprawdę chory. Powiedz: co ci się stało? Odpaliła cię. Eł! taka dzierlatka! Masz się czego martwić!

Pan Tomasz zerwał się na równe nogi, przyskoczył do niewinnego Wacka z zaciśniętymi pięściami i zawołał:

— Nie żartuj, ej! nie żartuj! bom zły.

— No to widzę; nie potrzebujesz mi mówić. Ale chciałbym wiedzieć: czegoś zły?

Pan Tomasz chodząc teraz wielkimi krokami po pokoju i milcząc, sapiąc mocno.

Wacek ustąpił mu z drogi, wyciągnął się na fotelu, zapalił papierosa i czekał, — a gdy Tomcio wciąż chodząc i wysapując się nie mógł, wtedy przyjaciel zapytał go łagodnie, jak matka:

— Coż u licha! czyś ty się już przedzierzgnął w lokomotywę gotową do drogi?

Niebaczny, przycisnął najboleśniejszą strunę w sercu Tomasza. „Lokomotywa do drogi gotowa“—ironio!

Pan Tomasz przystanął, spojrzał złowrogo w oczy przyjaciela i rzekł ponuro:

— Ej Wacek! proszę cię na naszą przyjaźń, nie mów mi o lokomotywie.

— A o czemże mam ci mówić, do stu par beczek!—Przecież cię tak nie zostawię samego. Coś cię opętało; kto cię będzie pilnował, jeśli nie ja?

To trafiło do przekonania Tomcia, spuścił głowę na piersi i milcząc chodził już spokojniejszym krokiem, przestał nawet sapać, by nikomu, a sobie najmniej, lokomotywy nie przypominać.

Nareszcie zmęczony się i usiadł. Wacek tymczasem wypalił już trzeciego papierosa a teraz spojrzał na zegarek i rzekł:

— Człowieku, to już po 5-ej. Cóż? nie pójdziemy na obiad?

— Idź—mruknął Tomcio.

— A ty?

— Nie jestem głodny.

— Co to będzie? Bo mnie już z głodu coś szarpie w żołądku.

— Idź.

Wacek namyślił się chwilę, poczem wstał, obejrzał się dokoła i zbliżył się do stolika, na którym przyrządy toaletowe leżały. Wziął nożyczki, spróbował ich raz i drugi, otwierając i zamykając, w końcu wsunął je do szuflady;—potem ujął brzytwę,—obejrzał, zamyślił się nad nią, w końcu położył ją zeicha obok nożyczek w szufladzie;—potem rzucił okiem na mury swego apartamentu. Wisiała tam na jednej ścianie stara szabla po praszczeniach, fuzya i rewolwer. Wacek zawsze z równym spokojem, zdejmował jedno mordercze narzędzie po drugim. Nareszcie, gdy już nie podejrzanego nie mógł dostrzedz, zamknął szufladę, dwa razy klucz obracając, wsunął go do kieszeni i przystanął, by się jeszcze raz uważnie Tomciowi przyrzec.

Tomcio stał koło okna, tyłem do niego wykrecony, więc z fiziognomii jego trudno coś było wyczytać.

Wacek się zamyślił,—potem potarł ręką po czole na znak wielkiego frasunku i mruknął zeicha:

— Nie, trzeba co zjeść, bo mi się koła w oczach robia.

Więc się cofnął ku drzwiom, schwycił za kapełusz, jeszcze się namyślał chwilę i znowu mruknął:

— Co się temu stało, że nawet jeść nie chce?

Rzucił raz jeszcze badawcze spojrzenie dokoła pokoju,—sposprzegł szczypce stalowe, które węgłe na kominku zwykł układać,—zbliżył się do nich, podniósł, ważył chwilę w rękę, ale postawił znowu na miejscu, cedząc przez zęby:

— Tem się chyba nie zabije.

I uspokojony ostatecznie, wyszedł, zamykając drzwi na klucz.

Tomcio sam został, walcząc ciągle z dwiema zażartami i wściekle potykającami się myślami.

— Pojedziesz — szamotała się jedna,—nie możesz,—krzyczała druga w niebogłose.

Już mózg rozsadził mu miała ta szalona walka wewnętrzna; powietrza mu zabrakło: więc rzucił się ku drzwiom, by się na ulicę dostać i w Jezucim ogrodzie ochłodzić głowę zbolałą.

Ale drzwi oparły się jego wysiłkom.

— Coż u licha! Zamknął mnie ten błazen, czy ja może zwaryowałem, czy co?

Wrócił do okna, ale mu się życie w tak czarnych kolorach przedstawiło, Myszkę tak była niezdożyta, kompromitacja niedotrzymanego słowa panny Melanii danego, tak straszna, że chwycił się za głowę oburącz i pobiegł tam, gdzie broń po praszczeniach zwykła była wisieć.

Nie! tylko sześć gwoździ.

Pobiegł do toalety gdzie zwykle leżała brzytwa,—nie! oprócz lustra, szczotek, grzebieni i fixatoaru.

Więc padł znowu na ottomanę i sam nie wiedział: zemlał li na niej, czy przytomność stracił, czy też może zasnął poprostu?

W niespełna godzinę klucz w zamku się obrócił i do pokoju wszedł rozważny Wacek. Odetchnął głęboko, gdy po kilku nowoływaniach i potrząśnięciach rękawem, Tomcio głowę podniósł i zapytał trochę sennym głosem:

— Czego?

— Spałeś?

— Dyabła tam spałem.

— A coś robił?

— Albo ja wiem?

— Chce ci się jeść?

— Aż mnie ekli z głodu — przyznał pokornie, zwalczony przez naturę.

— No, to chodźmy.

— A no, chodźmy.

I poszli, a wierny Wacek poświęcił się do tego stopnia, że „pałaszował“ drugi obiad z rzędu jakoby na czezo był wyszedł z domu, bo uważał, że połowiczne poświęcenie licha warte. Kazał przy tej sposobności postawić butelkę węgryna i przy tej-to okazji wydobył nareszcie z przyjaciela troskę jego na światło dzienne.

Zamiast się rozezulać, rąbnął pięścią o stół, aż Tomcio podskoczył, bo miał dnia tego nerwy star-gane, i zawołał:

— Wyrzekam się ciebie.

Tomcio patrzył na niego zdziwiony.

— Nie masz pojęcia o przyjaźni, ślimacze masz serce,—nie znasz pierwszej litery w kodexie przyjaźni. Mam cię za hetkę pętłkę a nie za przyjaciela.

Teraz Tomcio rąbnął z niemniejszą energią i krzyknął:

— Odwołaj!

— Nie odwołam.

— Odwołaj, bo cię zadławię!—ciągnął Tomcio z oczyma iskrzącymi od gniewu.

— Odwołam, jeśli mi tu powiesz w tej chwili: „Potrzebuję 50, 70, 100 reńskich, dawaj.“

Tomcio zakrztusił się winem i tak kaszlał a kaszlał, że go aż Wacek zylałą dłonią po karku trzepnął, powtarzając—nie udławisz się, powiedz, powiedz mi to zaraz, ile potrzebujesz, bo jak nie, to dalibóg, słowo uczciwego człowieka, kwita z przyjaźni!

W Tomciu rogata dusza siedziała: nie chciał się poddać; Wacek ją przekładać: jaką to krzywdę mu robi, jak to nie godzi się Ieka ani Szmula mieszać w historye miłosne, bo to nie przynosi szczęścia, ale co innego wziąć od brata szlachci-cy, przyjaciela, któremu procentu się nie płaci a oddać można choćby i na dolinie Jozefata.

Tu się Tomcio zachnął:—Jeżeli pożyczę, to oddam, do krośet!

— No, to oddasz, kochanie! oddasz! A kto ci broni? — ale najpierw weź, bo cię będę miał za trutnia.

W oczach Tomcia zamigotała rusalkowa postać panny Melanii,—zamajaczyły mu w myśli rajskie dnie w murach wiedeńskich — i rzekł: — Albo ty taki Krezus, że miałbyś sto reńskich, tak sobie, gotówką?

— Albo co? Czym ja gorszy od Krezusa? czego mi ubliżasz? Krezus mógłby być moim fagasem. Chcesz sto, będziesz miał sto, ale czy to dosyć?

Tomcio rzucił się przyjacielowi na szyję i wołał w uniesieniu: — Wacku, niech cię wszyscy dyabli, jakieś ty pocziwy!

I tak się to stało, że nazajutrz Tomcio siadał do „fiakra“ (powozu) w czasie gdy „fiakier“ (furman) siedział już na jego kufrze gotów do zacięcia rumaka.

Tomcio siadał z wolna, bo obie ręce miał zajęte; — w jednej dłoni trzymał bukiet z bratków i rezedy dla babci, w drugiej bukiet z konwalii i fijołków dla wnuczki, a gdyby był miał trzecią do użytku, byłby w niej trzymał 10-cio-funtowe pudło cukierków, ale że nie miał swej trzeciej dłoni, więc mu przyjaciel Wacek podawał z kolei, tak pudło jak i worek podróżny i pudełko z cylindrem—bo Tomcio zaopatrył się nawet w cylinder.

Na dworcu Karola Ludwika głucha jeszcze była pustka, gdy pan Tomasz wysiadł z bukietami i pudełkami, a zanim ruch się zrobił, upłynęły, co najmniej, trzy kwadransy.

Ale kto po służbie jeździ na dworze kolejowe, ten powinien trzy kwadransy spędzać samotnie w poczekalni, bo nuż „ona“ stawiałaby się i weźniejszej, na to nie mógł się narażać, tembardziej, że i babcia grała wybitną rolę w intrydze.

Znaną jest bowiem rzeczą, że babcie cierpią na gorączkę kolejową. Jeżeli mają wyruszyć w świat daleki o jedenastej z rana, zrywają się zanim kur zapieje i gdyby nie „roztrzępactwo“ wnuczki,

już około południa stawilyby się u zamkniętej kassy.

W takich warunkach żaden Tomeio nie miałby szansy znaleźć się pierwszym na dworcu, — ale Tomeiowie znają swe panie i liczą na ich wpływy, że babciom nie będzie danem ruszyć się z domu zanim ostatni łuczek nie zostanie zakręcony na głowie wnuczki i zanim woalka nie będzie starannie spuszczone, już nie tworząc żadnej fałdki. Takie „guzdralstwo“ młodych wprowadza babci w stan niepoczytalny i w irytację nie do opisaną, ale to mija, gdy się na dworcu dowiedzą, że pociąg nie wyruszył jeszcze z ostatniej stacji, — wtedy wnuczka woła z tryumfem: „Widzi babciu! nie miałam racji?“

A babcia udaje, że nie słyszy i zawsze jeszcze gorączkowo udziela wskazówek numerowemu co do bagaży i szesnastu różnych pakuneków, których wnuczka nienawidzi nienawistną wielką.

Wszystko się odbyło wedle zwykłego programu. Tomeio chuchał w ręce długo bardzo i ziewnął kilka razy, zanim się tych pań doczekał; te panie nadjechały, zanim pociąg wyruszył z ostatniej stacji, — i tylko ta była różnica, że babcia w strasznych opalach wyjazdu t. j. w jednej chwili, w której bunt przeciw Myszcze wypowiadała, nie pozwoliła jej nawet rękawiczek zapiać, woalki starannie obciągnąć, — więc skoro panna Melania przejrzała się w lustrze poczekalni, zakryła oczy rączkami i zawołała: „o zgrozo!“

Zpod owej woalki wychodziło całe jedno uszko różowe, w czasie gdy na drugim gęste fałdeczki się tworzyły. Tomeiowi bardzo się to podobało, ale Myszka miała się za zgubioną w jego opinii, więc czempredzej woalkę zdjęła, aby ją dopasować wedle reguły. Babcia zajęta była w tej chwili wyrzucaniem do dna wszystkiego, co się w torbie podróży znajdowało, bo zdawało jej się, że zapomniła kluczy od kufrów. Mozolna ta a przykra operacja tak ją pochłonięła, że niezupełnie wiedziała, co się dokola niej działo.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## PRZEGLĄD TEATRALNY.

CIX.

**Optymiści**, sztuka w 5-ciu aktach, St. hr. Rzewuskiego — po raz pierwszy w Teatrze „Wodewil“ d. 17 Sierpnia. **Różowe dyabelki**, krotoczwila ze śpiewem w 5-u aktach, pp. Eugeniusza Grange i Lamberta Thiboust, z francuskiego tłómaczona — poraz pierwszy w Teatrze Letnim, d. 20-go Sierpnia.

*Optymiści* p. Rzewuskiego dawno już szturmowali do głównej naszej sceny i po wielu znach zdobyli sobie nareszcie w roku bieżącym — Wodewil. Sztuka francuzka, przeciwnie, wcale nie szturmując, nie mając nawet pretensyi do sceny warszawskiej, niespodziewanie, ku wielkiemu zdziwieniu znawców teatru znad Sekwany, znalazła się w rzedzie sztuk nowych — ona, dwudziestoletnia już staruszka. Obie sztuki mają to wspólne, że się na nich jednakożo znudzić można. Ale można się też i zabawić: w sztuce p. Rzewuskiego tem, co w niej ma wzruszać i wstrząsać — pathosem jej, filozoficznością i psychologią; w sztuce dwóch Francuzów — niespodziankami dobrymi dla dzieci, dla starych dzieci, z jakich składa się zbyt często publiczność teatralna.

P. Rzewuski przedewszystkiem nie zdaje sobie dobre sprawy z pojęcia *optimizm*. Ci, których w sztuce swojej „Optymistami“ nazywa, są albo wprost uczciwymi tylko ludźmi albo uczciwymi deklamatorami, — ale nigdy i pod żadnym pozorem — „Optymistami“. Nawet niegodziwcy w sztuce nie mieli prawa tak nazywać uczciwców, a jeżeli brudna ślina mogła im przynieść jakiś wyraz na usta, to raczej: „głupcy, marzyciele,

niedołęgi“, ale nigdy i pod żadnym pozorem — „optymiści“. Ponieważ zaś u p. Rzewuskiego, wbrew może jego własnym poczuciom etycznie-artystycznym, źle tak przytłacza wszystko, co dobrem być chciało, że ostatecznie wychodzi się z jego sztuki, jakby z posiedzenia sądu kryminalnego, — najwłaściwszą przeto byłaby dla *Optymistów* nazwa „Nikczemnicy“ albo wprost „Zbrodniarze“.

Jak tytułu, tak i treści dobrać sobie autor nie umiał. Treść ta jest dziwaczna, przypominająca owe starożytne *vigilantium somnia*, bredzenie na jawie, a figury ludzkie do niej użyte sprawiają wrażenie postaci wytwarzanych z pary i dymu. Jest to znana nam już z *Ostatniego Dnia Don Juana* i z *Hrabiego Witolda* metoda p. Rzewuskiego tworzenia dusz ludzkich w sztuce. Wyłożył ją sam autor w słowie wstępem do dramatu, osnuto na przygodzie, która Mozartowi dała sposobność do nieśmiertelnienia się w muzyce, a p. Rzewuskiemu — do zupełnego zasypania się w dramaturgii. Główną zasadą, czerwoną nicią tej metody jest — obywanie się bez wszelkiej logiki i miary. Ludzie p. Rzewuskiego wyglądają tak, jakgdyby w każdym z nich mieszkało po kilku ludzi. W czynach ich i uczuciach niema ciągłości ładu i składu, a dusze ich są bez dna i bez rdzenia. Żadnej stałości, żadnych kształtów ująć i utrwalić się dających. Wszystko leci gdzieś w przepaść nicości, z której nie powinno być wcale się wychylać.

Dusze ludzkie p. Rzewuskiego mają duchowy swój miąższ — z kredki pastelowej. Wszystko to przesuwa się i miga przed oczyma ale samo nie żyje. I największa nawet siła nie poradzi, gdy braknie rdzenia pacierzowego, a w takim właśnie położeniu znajdują się wszystkie wytwory p. Rzewuskiego — i sama też jego twórczość. Jego wyobrażenia, jego uczucie odbijające we wrażliwości zjawiska ruchu dusz ludzkich, jest tak bezładnem, rozpasanem, że nie zostawia miejsca na rozum artystyczny, na cierpliwość, ciągłość myśli, na logikę, bez której nawet geniuszom obywać się nie wolno. Brak tej logiki wytknął p. Rzewuskiemu już Francuz, Sarcey, w jednej z niedawnych kronik swoich w *Temps*. Dla autora *Optymistów* ważniejszem od zdobywania laurów byłoby dziś zdobycie na samym sobie tego przekonania, że wszystko to, co dotychczas utworzył, jest nierozumne, i prócz tej wartości, jaką ma dziecko dla matki swojej, żadnej innej nie posiada, stwierdzając tylko istnienie rzeczywistych zdolności, których przebliski znajdują się i w *Ostatnim dniu* i w *Optymistach*. Chcąc je zużytkować, chcąc je rozwinąć i doprowadzić do potęgi wystarczającej, musi p. Rzewuski rozpocząć nowe życie literackie, zachować to, co wytworzył dotychczas, na pamiątkę bezdroży, któremi szedł, a zerwać z temi bezdrożami, z tą metodą, z tą całą twórczością, z tem ja swoim dzisiejszem — i zacząć nowe życie. Ale nie zacznie się go, jeśli się nie zerwie i z Paryżem, z jego atmosferą, z jego miazmatami, z jego zdrowem nawet powietrzem. Odrodzenie talentu przyjdzie tylko zdala od tego środowiska, w którym się dokonało jego zwyrodnienie — nie sądzę, aby już ostateczne, bez nadziei, bez jutra. Ta terapia duchowa, tak bardzo potrzebna, w kraju tylko, w ciszej wiejskiej, o którą p. Rzewuskiemu tak łatwo, da się przeprowadzić.

Typowym przedmiotem, zagadnieniem myśli twórczej p. Rzewuskiego jest ukazywanie łotrów, do których lecą kobiety, jak muchy na lep. Powtarza się to we wszystkich trzech utworach tu wspomnianych, — powtarza prawie z jednostajnością kształtów. A nie są to wariacje bez końca na temat: „galernicy mają najwięcej szczęścia do kobiet“ — stawiany niekiedy przez pesymizm zdrowy, pogardzający ludźmi, obnażający niemiłosiernie naturę ludzką, kochający przeciwieństwo ideały etyczne; nie: p. Rzewuski z zamiłowaniem, z uporem, z fatalizmem, a bez żadnego zgola pocucia etycznego, ukazuje nam kobiety ulegające urokowi istot zbrodniczych. W *Optymistach* urozmaica tę tezę inna jeszcze: „kobieta upadła nigdy się już nie podniesie“ — ale rozwinięcie tej zasady, narzucającej przez doświadczenie życia i zasługującej na to, aby ja raczej za axiomat, niż za sofizmat

uważać, jest tak — *sit venia verbo* — młodzienia-szkowe, że wcale nie czuć jej wagi w sztuce. Mignęło się to, przeleciało i znikło, jak wszystko w dotychczasowym wytwórstwie p. Rzewuskiego, i nie zostawiło nic dodatniego we wrażliwości, a przez nią i w pamięci. Trzecim kregiem, o który zaczyna myśl autorska, jest zepsucie obyczajów, upodlenie, nikczemność zbiorowa pewnych sfer towarzyskich; lecz tu znów ów wiecznie powtarzający się hrabia Witold wszystko niegodziwością swych miłości zasłania, i to, na cośmy patrzeć mieli, ciągle przed okiem naszym ucieka.

Taki mają układ myślowy, taką budowę zasadniczą *Optymiści*. Ani przygody samej — ohydnej — ani dramatycznego jej ciągu rozbiera tu nie chciałem i nie będę. Uwagi swoje przeznaczam więcej dla autora, niż dla czytelnika, który widzem nigdy nie będzie, bo wątpię, aby *Optymiści* dostali się już kiedykolwiek na scenę główną, przepadłszy z kretelem na maleńkiej, wodewilowej.

*Różowe dyabelki*, które mogłyby być taksamo „zielonemi“ lub „niebieskimi“ są stekiem dziecinstw i głupstw. Antoni Boucart (p. Wolski), młody a bogaty, mający lirycznego lokaja Trumeau (p. Grubiński) żyje sobie wesoło — dwadzieścia kilka lat temu — w Paryżu. Czas już nareszcie się ustakować, sowizdrzalstwo utopić w małżeństwie. Bogaty mieszczanin Belzingue (p. Wojdałowicz) ma córkę Adelinę (panna Zima-jeńska), ma i żonę, która go za łeb trzyma, grubą przekupkę (p. Ostrowska), ma i lokatora, nauczyciela fechtunku, Pavillona (p. Szymanowski), wraz z żoną tegoż Indyana Pavillon (p. Barszczewska). Głównie za sprawą mamy Belzingue ma się Boucart ożenić z Adeliną; ale mu to idzie nie sporo: z czasu przeszłego dokonanego zrobić czas przyszły — nie łatwo. A tych czasów przeszłych ma sowizdrzał aż trzy na scenie: najpierw Florę Moulin, artystkę dramatyczną, niegdyś w balecie, odbierającą nadto jeszcze hołdy od papy Belzingue'a (p. Lüde); potem ową panią Pavillon, która, jako urodzona peruwianka, żartować nie myśli, wreszcie modniarkę Lolotę (p. Czaki). Narzeczony musi być od wszelkich więzów i więzków wolnym, zwłaszcza gdy ma dostać taką mamę, jak pani Belzingue. Odebrania listów od aktorki podejmuje się Pavillon, ale niczego wskórać nie może i ostatecznie sam jegomość narzeczony musi targ w targ wykupić je za sznur pereł. Jejmość go oszukuje: pali jakiś niewinny papier, a listy zatrzymuje w ręku; on też nie myśli pereł kupować — i dobrze robi, bo zniszczenie lub zachowanie listów nie wpływa wcale na bieg sztuki. Nie wpływa też na nią ani fecht mistrz, ani sam Boucart, ani żaden z jego trzech czasów przeszłych — wpływają tylko sami autorowie. Zbierają oni wszystkie trzy wyjątki Adeliny, ale z dodatkiem jeszcze trzech przyjaciółek Loloty, w jakiejś restauracji podmiejskiej pod wezwaniem Robinsona i tu rozwiązują węzły dramatyczne. Lolota chce otruć niewiernego arsenikiem, ale dzięki p. Narkiewiczowi (garson) truje go tylko solą Glauberską; Flora Moulin śpiewa kuplety na mężczyzn, pani Belzingue zagania męża do domu; pani Pavillon powierza się Boucartowi do wykradzenia i razem z nim znika. Z różowymi dyabelkami zostaje sam Pavillon — i płaci rachunek. Jest to moment tragiczny sztuki — za zasłoną.

Oczywiście, wszystko się dobrze kończy. Dla uciechy widzów Boucart drży przed Pavillonem, a Pavillon sam jeszcze przeprosza żonę za to, że z innym uciec chciał. Pani Belzingue wszystko przyprowadza do równowagi, i w końcu sztuki mamy już pewność, że Boucart ożeni się z Adeliną.

Takiej pohulance scenicznej braknie szczerzej wesołości i z wyjątkiem schadzki zbiorowej w restauracji ciężko jej śmiech z gardzieli ludzkich wydobywać. Wprowadzenie jej na scenę Teatru Letniego można wytłómaczyć sobie tylko przypuszczeniem dobrowolnego wyręczenia. Teatr Nowy przy ulicy Królewskiej ma zawsze tyle nowości i tylu nowych słuchaczy, że gdy raz już sztukę wybrano, może nawet i względ na samą sceniczną zalecił wystawienie w Teatrze Letnim. Można się też spodziewać, że nikt *Różowych dyabelków* wprowadzać nie zechce na repertuar Rozmaitości. Letniemu wolno sobie czasem pozwolić; w Rozmaitościach sztuki większe po-

winny przynajmniej z rodzaju swego być kome-  
dyami, dalekimi od takich lichot, jak *Różowe  
dyabelki*.

Pani Lüde bardzo pięknie wyglądała jako Flo-  
ra, tylko do kupletów nie ma już głosu. P. Ostrow-  
ska okazała się dobrą panią Belzingue. Na uwa-  
gę zasługują jeszcze p. Szymanowski, dobry nie-  
dołęga fehmistrz, i p. Wolski jako Boucart.

Stanisław Krzemiński.

## KOBIETA W STAROŻYTNYM RZYMIE.

Zastanawiając się nad życiem kobiety w staroży-  
tnym Rzymie, a zwłaszcza nad jej stanowiskiem jako  
żony, gospodyni i kobiety światowej, potrzeba roz-  
różnić dwie epoki, które ku końcowi Rzeczypospo-  
litej powoli złączyły się z sobą. W pierwszej epoce  
nazwać ją można kobietą Rzymianką w drugiej  
zaś—kobietą damą. W ślad za tą charakterystycz-  
ną zmianą obyczajów kobiety idzie też i przeksz-  
tałcenie całego domu i nigdy może, jak tutaj, nie  
da zastosować się właściwiej zdanie: „powiedz mi,  
jak mieszkasz, a ja powiem ci kto jesteś.“

Mowa tu tylko o kobiecie wyższego stanowiska  
i owo przekształcenie obyczajów do niej się tylko  
odnosi. Żona gospodarza wiejskiego lub obywa-  
tela miejskiego, rozwijając się odpowiednio do  
natury, okaże się o wiele bardziej zachowawczą.  
Rzadkie tylko są wzmianki w historii o plebejusz-  
kach i formach ich bytu. Jak tedy mieszkala ko-  
bieta rzymska, pani domu (*domina*), na znak swej  
władzy, przechowująca wszystkie klucze u siebie?  
Środkowym punktem jej domu jest *atrium*.

Nazwa ta pochodzi od czerniejącego dymu (*ater*—  
czarny) odciganego z ognisk domowych, przez  
czworograniasty otwór dachu.

Atryum za dobrych dawnych czasów stanowiło  
pokój mieszkalny, w późniejszej zaś epoce równo-  
ważyło się z salonem. Początkowo mieściło się  
w Atryum, oprócz ogniska wyżej wymienionego,  
ognisko doczesne: ołtarz domowy, zbiór larów  
czyli domowych bożków,—jednym słowem: wszyst-  
ko znajdowało tam miejsce, co tylko miało związek  
z istotą rodziny i pojęciem o niej. Tu umieszczona  
była żelazna kassa pana domu, przymocowana  
do podłogi i ściany; tutaj również gromadzono dro-  
gie dla serca pamiątki po zmarłych; wizerunki  
wyrabiane z wosku, tak zwane „*imagines*“, oraz  
maski portretowane przodków. Sypialnia małżeń-  
ska bezpośrednio graniczyła z Atryum lub stano-  
wiła jego część; Atryum było również miejscem,  
gdzie pełna swobodnej prostoty pani domu, w o-  
toczeniu swoich żwawych i pracowitych służebnic,  
zajmowała się robotą a głównie przedzeniem weł-  
ny. Historyk Tytus Liwiusz skreślił wiernie chwile,  
w której szlachta rzymska ujrzała w spóźnio-  
nej porze nocnej piękną Lukrecję zajętą w A-  
tryum ze swemi dziewczętami przedzeniem wełny.

Zachwycający to obraz rodzajowy—ta kobieta  
w szczupłych ramach Atryum, roztaczająca do ko-  
ła swą cichą i łagodną władzę — jest to po wsze  
czasy, postać typowa dawnej Rzymianki patry-  
cyuszki, Lukrecja pochodziła bowiem ze znakomi-  
tego rodu miasta o siedmiu pagórkach.

Życie domowe starożytnych Rzymian opisał Co-  
lumella w swoim dziele „*De re rustica*“ (o rolnic-  
twie). „Praca domowa—pisze autor—była obo-  
wiązkiem kobiety, gdy tymczasem ojcowie rodzin  
chronili się pod domową strzechą dla zapomnie-  
nia o kłopotach spraw publicznych oraz dla wypo-  
czynku po trudach urzędowych. Ponad Atryum  
unosił się duch zgody, spokoju i jedności. Nigdy  
nie zawiodła tam tkliwa opieka, ani wzajemny  
szacunek. Mąż był jedyną myślą żony — celem  
jej—uprzyjemnienie mu życia. W troskach zaś  
jego, jakże szczerzy i chętny brała udział! Żadnego  
tam rozdziału pomiędzy małżonkami nie było —  
wszystko wspólne—nic osobistego—żadnych wy-  
łącznych praw, żadnych odrębnych przywilejów—  
jednym słowem: przechodzili życie ręką w rękę.

Według Plutarcha nawet Kato, ów piastun staro-

rzymskiej obyczajności, surowy, zbyt może surowy  
w swoich zasadach, był pełen najdelikatniejszych  
uczuć względem swojej żony i często powtarzał,  
że zacnego ojca rodziny i uczeniawę jego małżonkę  
wyżej ceni nad mędrca senatora.

Z upadkiem rzeczypospolitej wkradły się zbytek  
i zniewieściałość, zamilowanie licznych towarzy-  
skich zebrań i stosunków, uczy i hulatyki. Nie-  
korzystna ta zmiana odbiła się również na Atryum.

Stare rodzinne, ognisko ze swemi domowymi bo-  
żkami i ołtarzami, nie mogło pogodzić swojej pier-  
wotnej a tak uroczej prostoty ze wzrastającą nie-  
zmiernie okazałością i gwarem nowego życia. Od  
samego już rana rozpoczynały się urzędowe posłu-  
chania i odwiedziny. Dobrzy dawni przyjaciele  
i krewni ginęli wśród tłumu „świata dystygowa-  
nego“, rój postaci będących w modzie, całe zastę-  
py urojonych wielkości i klientów, którzy dla oso-  
bistych widoków, otaczali i schlebiali próżności  
pana domu; miejsca zaś, gdzie niegdyś pracowita  
gospodyni trudziła się przedzeniem, gdzie z rozko-  
szą przypatrywała się zabawom swoich dzieci, lub  
też z pobłażliwym uśmiechem wtórowała niewinnym  
żartom i figlom swoich niewolnic—miejsca te do-  
mowego zacisza obłożone zostały przez senatorów,  
pretorów i zgraję pasożytów i pochlebców. Słu-  
żebnikom nie wolno już było składać wrzeciona  
za wrzecionem w kosze plecione z lyka lub wier-  
by—nie wolno było wziąć igły w rękę, dla sporzą-  
dzenia najprostszej dziecięcej odzieży. Całe mie-  
szkanie, nie wyłączając rodzinnej komnaty, odda-  
ne zostało na łup wielkowsiatowców, modnisiów  
i próżniaków. Naturalnie, ze zmianą zwyczajów  
domowych, stanowisko moralne kobiety zmieniło  
się zupełnie. Zamiast, jak przedtem, spełniać  
obowiązki pocieszycielek, wychowawczyń, matek  
i ucziwych przewodniczek rodziny, kobiety prze-  
kształciły się na „reprezentantki“. Zamiast wzbo-  
gacać umysł gruntownymi wiadomościami, podług  
najnowszych wykładów, przysłuchiwały się ga-  
wędzie o nowym utworze, często bardzo nudnego  
modnego poety i z równym zapałem rozprawiały  
o blachostkach, jak hołdowały ubóstwianej kome-  
dyantce lub rozgłosnej ploteczce stolicy. Musiały  
czytywać dzieła belletrystyczne i filozoficzne, któ-  
rych w gruncie rzeczy zupełnie nie rozumiały. Ci-  
che i gruntowne wychowanie domowe ustąpiło  
miejsca wychowaniu pozornemu, jaskrawemu, ol-  
śniewającemu. Zalotność i chęć popisania się  
górowała ponad wszystkim, a paplanie po grecku  
—o ile temat i słuchacz wytrzymywał—stało się  
niemal obowiązkiem kobiety światowej.

Współczesny satyryk, Juvenalis, powstaje prze-  
ciwko temu wstępnemu a tak fałszywemu kierun-  
kowi wychowania płci pięknej. Dążność ta za-  
rysowała się już na początku pierwszego stulecia  
a następnie odezwała się podwójnym tętnem.

„Czy może być coś obrzydliwszego,—pisze Ju-  
venalis w sławnej swojej szóstej satyrze—nad to  
wpojęte przekonanie, że dziś, żadna z kobiet  
choćby pełna uroku i wdzięku, nie zyska uznania,  
dopóki z urodzonej w Etrurii nie stanie się córką  
Hellady a z Sulmonianki (\*) prawowitą córką Aten?  
W tym-to języku, greckim mianowicie, wypowia-  
dają one swe troski, zwątpienia i skargi, radość  
i kłopoty oraz tajemnice w głębi duszy i serca  
ukryte.“ Na innym miejscu w tych znowu  
słowach wyraża się o literacko-krytycznym dyletan-  
tyzmie.

„Znieść nie mogę, taksamo jak nie znoszę ko-  
biety pijanej—damy, która za ledwie miejsce za-  
jęła, już unosi się nad Wergiliuszem i która uważa  
jako rzecz zupełnie naturalną i usprawiedliwioną,  
że Dydoną odebrała sobie życie, gdy ją opuścił  
Eneasz. Naciągniętymi frazesami wywodzi ona  
porównania między poetami a ich utworami.  
Jest to przerażające,—dodaje satyryk,—gdy w ten  
sposób położy na jednej szali Wergiliusza a na  
drugiej starożytnego Homera—i nikt wówczas nie  
zwalczy jej sądu, ani najznakomitszy professor, ani  
biegły mówca, ani przebiegły adwokat, ani naj-  
krzykliwszy woźny sądowy — za ledwie druga  
kobieta! Jak potok płyną z ust jej wyrazy—sy-

czą dźwięczą, dzwonią, grożą—że niemal zwaryo-  
wać można!

O ileż jednak groźniejszym nad tę towarzy-  
ską ranę okazało się, stopniowe rozprzeganie sto-  
sunków życia rodzinnego, zamierające poszanowa-  
nie dla świętości węzłów małżeńskich, lekkomy-  
ślność i upadek obyczajów, co zwłaszcza w wyż-  
szych i najwyższych kołach towarzyskich, z każ-  
dym rokiem rozprzestrzeniało się ogólniej.

Rzymianie w Starożytności jeszcze wyznaczyli  
nierównie obszerniejszy zakres swobody kobiet,  
aniżeli Grecy. W Atenach zamykano kobiety i  
dziewicę, z surowością prawie wschodnich zwy-  
czajów, w tak zwanych „*Gynaekonites*“ czyli od-  
dzielnych komnatach dla kobiet. Według podań  
historycznych greckie niewiasty ukazywały się  
tylko w wyjątkowych okolicznościach; w Rzymie  
zaś działo się zupełnie inaczej. Podanie o po-  
rwaniu Sabine dowodzi, że kobiety i panny po-  
chodzenia łatyńskiego miały prawo brać udział  
w narodowych uroczystościach. Przy Forum  
w IV wieku przed Chrystusem znajdowała się  
publiczna wyższa szkoła dla dziewcząt. Tu przy-  
pomnieć należy, że kobiety dawnych czasów  
wszędzie bez przeszkody ukazywać się miały pra-  
wo—przywilej, z którego korzystały tylko w wy-  
jątkowo ważnych okolicznościach—już-to dla po-  
wstrzymania tworzących się zgromadzeń, już-to  
dla jawnych politycznych kwestii.

Wyżej przytoczone słowa Columelli, wystar-  
czyłyby same przez się, aby dowiedzieć, że pojęcie  
celu i istoty małżeństwa w republikańskiej Romie  
było nierównie poważniejszym i szlachetniejszym,  
niż w Grecji. Pojęcie to nikło stopniowo, a wol-  
ność, którą starożytny gród darzył swoje kobiety  
w przeciwstawieniu z Helladą — wolność ta zle-  
żała spożytkowaną. W pierwszym stuleciu na-  
potykamy już wszędzie ślady spaczonyj emancy-  
pacji. Pierwotne poważne formy związku mał-  
żeńskiego ustępują miejsca mniej krępującym,  
władza kobiety wzrasta a w równym z nią  
stosunku poczucie obowiązku słabnie. Jednym  
słowem, powoli przetwarzają się okoliczności, któ-  
rych wyjaśniać tu nie będziemy, ale których dzi-  
wactwa i ohydy, ani pojąć, ani wyobrazić sobie  
nie podobna.

Błędem jest jednak rozpowszechnione mnie-  
manie, oparte na złośliwych epigramatach i saty-  
rach ówczesnych autorów, a po części i poda-  
niach historycznych, że Rzym za czasów cesar-  
skich był kałużą zapowietrzonych i zatrutych oby-  
czajów.

Wprawdzie epoka ta daje liczne przykłady  
strasznego z wyrodnienia kobiety, ale świat ary-  
stokratyczny nie był przeważnie oddany lenistwu i  
beprawiom, jak to z opisów wnosić można. Sama  
nawet historia, tak nieublagana w sądach swoich,  
stawia nam obok bezwstydnej cesarzowej żony Klau-  
dyusza, Messaliny, heroiczną postać Arryi, w ca-  
łym majestacie kobiecych cnót i tklivosti serca.  
Zestawienie tych dwóch kobiet usuwa wszelką  
wątpliwość i każe wierzyć, że czułość, szlachet-  
ność, poświęcenie bez granic, nieposzlakowana  
czystość uczuć, wierność i miłość małżeńska, aż do  
śmierci, częściej dają się stwierdzić dowodami, a-  
niżeli to na pierwszy rzut oka osądzić można.

W każdym razie, kilka mniej więcej znanych  
przykładów wykaże: jako upadający Rzym nie  
był pozbawionym tych promieniających postaci  
kobiecych, do których sere „Anioł przemawia, a  
Bóg w nich gości.“

Historia, przytacza bohaterski czyn Arryi, mał-  
żonki Paetusa. Fakt ten znany wszystkim ze szkol-  
nych jeszcze ławek, mógł się niejednemu zatrzeć  
w pamięci. Arrya, straciwszy wszelką nadzieję  
ocalenia męża, oskarżonego o spisek przeciwko  
cesarzowi Klaudyuszowi, i skazanemu na śmierć,  
nie chcąc, ażeby zginął z ręki kata, postanowiła  
z nim razem umrzeć i namawia go, by sam sobie ży-  
cie odebrał. Dla przykładu zaś od wahającego  
się bierze sztylet i zatapia go w swoim łonie, a  
zdoławszy jeszcze wyrwać, podaje mężowi, mó-  
wiąc: „*Paetus! nie boli.*“

Fakt ten należy do historii powszechnej; zacy-  
tujemy tu inny, mniej znany a jakkolwiek nie  
może się porównać z bohaterstwem wyżej opisa-  
nego, jest jednak świetnym zarysem tej mężnej,  
wielkiego serca kobiety.

(\*) Miasto Sulmo w ziemi Pelignów, za jeziorem Fucinus,  
dwadzieścia kilka mil od Rzymu, na wschód.

Małżonek Arryi, był niebezpiecznie chorym, syn ich uległ również ciężkiej niemocy. Obaj byli pielęgnowani w oddzielnych komnatach, a Arrya była główną ich dozorczynią, dzieląc z miłością swe trudy i starania pomiędzy mężem a synem.

Syn, młodzieniec niepospolitych zdolności i urody, duma i rozkosz matki, umarł. Arrya, złamana najstraszniejszą boleścią, zrozumiała, że ojciec zostający pomiędzy życiem a śmiercią nie powinien o tem nieszczęściu wiedzieć.

Z całym więc spokojem zajęła się sama przygotowaniem do pogrzebowego obchodu, odprowadziła syna na miejsce wiecznego spoczynku, poczem z całą energią powróciła do swoich obowiązków. Zapytywana przez męża o zdrowie syna, nieszczęśliwa ta matka zmuszoną była opowiadać najdrobniejsze szczegóły przebiegu choroby i na tle dobrego apetytu lub spokojnego snu syna tworzyć tysiące odpowiedzi, a przedewszystkiem zachować spokój, uśmiechniony wyraz twarzy i wesołością słowa swoje stwierdzać. Gdy jednak zbyt długo wstrzymywane łzy przemogły i nagle do oczu tłoczyć się zaczęły, wychodziła z pokoju, ażeby na chwilę ulżyć swej boleści. Wylakawszy się do woli, powracała do chorego, tak spokojna — jakgdyby swą rozpacz pozostawiła za drzwiami.

Szczyt wielkości duszy i moralnej siły Arryi w tym wypadku ocenionym został podwójnie po jej bohaterskiej śmierci.

Ażeby zrozumieć samobójstwo Arryi i inne mniej więcej podobne wypadki w starej Romie, należy uprzytomnić sobie odległą przeszłość.

Samobójstwo u Rzymian, spełnione w wyjątkowych okolicznościach, dla ważnego powodu, nie tylko, że było usprawiedliwione, ale nawet stanowiło niejako rozkaz prawa obyczajnego.

Zamiar pozbawienia się życia razem z Paetusem nie powstał w umyśle Arryi w okamgnieniu w chwili stanowczej — powstał on z zasady i z przekonania. Wszak ona już do śmierci Scriboniusa (wspólnika spisku Paetusa) przemówiła do jego żony pogardliwymi wyrazami, skoro ta przesłuchana, złożyła przed Cezarem wyznanie: „Ciebież to ja jeszcze słyszę! i ty jeszcze żyjesz, gdy Scriboniusa na twoich rękach zamordowano!”

Dalej, dowiedzionem było, że zięć Arryi Trazea, usiłował odwieść ją od zamiaru pozbawienia się życia wraz z Paetusem; a gdy wszelkie dowodzenia na nie się nie przydały Trazea zapytał: „a więc gdyby twoja córka była w podobnym wypadku — czy chciałabyś, ażeby razem ze mną umarła?” — Bez wątpienia! — odrzekła Arrya — gdyby z tobą tyle lat, i tak szczęśliwie przeżyła, jak ja z Paetusem!

Podobną okoliczność tylko z mniej znanego świata opowiada Pliniusz młodszy w jednym ze swoich listów. Epizod ten przypomina podziwiany niegdyś obraz zatytułowany: „Zmęczeni życiem” z tą różnicą, że głównym bohaterem obrazu jest mężczyzna. „Przepływałem nasze Laryjskie jezioro (Como) pisze Pliniusz — gdy niedawny przyjaciel ukazał więksi pałacyk i wychodzące na jezioro okno sypialnego pokoju; z tego-to okna, mówił, rzuciła się niegdyś nasza rodaczka wraz ze swoim mężem. Zapytałem o przyczynę. Mąż jej cierpiał oddawna na nieuleczalną chorobę. Gdy żona straciła już zupełnie nadzieję wyleczenia go, sama poddała mu myśl śmierci. W chwili stanowczej dodawała mu otuchy, była przykładem odwagi oraz kierowniczką wszelkich odpowiednich ku temu przygotowań. Związała się z nim i rzuciła się razem w jezioro.

Imię tej kobiety nie przeszło do potomności, Pliniusz jednak zaznacza, że czyn nie był mniej wzniosłym od słynnego bohaterstwa Arryi.

Tenże sam młodszy Pliniusz, wraz ze swoją małżonką Kalpurnią, dają przykład idealnego małżeństwa, którego pojedyncze zarzysy i dla nas nowożytnych pewnym są powabem.

W istocie, warto jest choć pobieżnie przedstawić przed oczy czytelnika listy Pliniusza pisane do Kalpurnii. Czytając je, widzi się jak na dłoni, stosunek pełen najszlachetniejszej serdeczności — tej drogiej dla serca spółki rodzinnej, możliwej tylko wówczas, gdy jest zawarta z kobietą, która łączy w sobie wszystkie zalety prawdziwej kobiecości.

Tak brzmi króciutki list Pliniusza:

„Piszesz mi, droga Kalpurnio, że moja nieobecność boli cię, a całą pociechę twoją zajęcie się moimi utworami. Ach! jakże jestem szczęśliwy z tej tęsknoty, którą w ten sposób starasz się ulagodzić.

„Zemną jest zupełnie to samo. Co chwila biorę do ręki twoje listy — jak gdyby tylko co nadeszły. Wyobrażam sobie, co-by to było za szczęście, gdybym cię tutaj miał obok siebie, kiedy już same twoje listy są dla mnie taką rozkoszą... a jednak — jakąż one dręczą mnie tęsknotą!”

W innym liście, wyraża się o wiele namiętniej. „Tęsknota moja przechodzi wszelkie wyobrażenia. Zbyt cię kocham i nie przywykłem być z tobą rozłączonym. Większą część nocy spędzam bezsenność. We dnie myślmoja błądzi w chwilach, w których zwykle jestem z tobą; w nieświadomym ucisku tęsknię za twoim pokojem, którego opuszczała ściany porzucam ze smutkiem, jakby wypędzony. Praca jedynie, uwalnia mnie na chwilę od tej męczarni. Osądź sama, Kalpurnio — co ja za życie prowadzę!”

Trzeci list, pisany do miejscowości kuracyjnej, zapewne do Bajae świadczy o gorączkowym niepokoju serca, tęskniącego do swojej najukochańszej. Nigdy jeszcze temu wielce pracowitemu człowiekowi zawód jego nie okazał się tak wstrętnym jak teraz, gdy obowiązki nie dozwoliły mu towarzyszyć do wód nieco cierpiącej żonie. Jakże-by pragnął być przy niej, ażeby własnymi oczami przekonać się o postępach kuracji i polepszeniu się zdrowia. „Gdybyś nawet zupełnie była zdrową — jeszcze niepokoiłbym się. Trwoga mnie ogarnia, gdy jestem czas jakiś bez wiadomości o istocie tak czule kochanej. Wszystkiego się teraz obawiam, w tęsknocie mojej tworzą najokropniejsze obrazy i przypuszczam właśnie to, co mnie najwięcej może dręczyć i przerażać. Proszę cię zatem, pisuj do mnie codzień — dwa razy, jeżeli to cię nie utrudzi.

W jednym z listów do Hispulli, córki Kalpurnii tak wyraża się Pliniusz o swojej żonie. „Ma ona wiele zdrowego rozsądku obok ujmującej prostoty obejścia i wdzięku dziecka, czem mnie najwięcej czaruje. Miłość do mnie natchnęła ją miłością do nauki. Zbiera wszystkie moje dzieła i z zapalem je studjuje. Przejęcie się jej moją sławą jest po prostu wzruszającym. Jeżeli prowadzę czyj proces — niepokoi się, jakgdyby szło o nią samą. Najmuje ludzi, ażeby ją czempredziej zawiadomili, jak broniłem sprawy: czy została wygrana i czy zyskałem uznanie publiczne. Jeżeli mam odczyt o literaturze, zajmuje miejsce niedaleko mnie, tuż przy drzwiach za firanką, i lubuje się pochwałami, któremi mnie darzą.”

Najszczytniejszym wszakże i najtkliwszym w dziejach starożytnego Rzymu wzorem wierności małżeńskiej i poświęcenia, jest żona Juliusza Sabinusa. Nieszczęśliwy los tej kobiety napiętnował niezatartą plamą tarczę herbowa potężnego cesarza Wespazjana. Sabinus postanowił wybawić Galię spod jarzma Rzymian, lecz po bohaterskim odporze zwyciężony, schronił się do własnych dóbr. Podpałił swój zamek, poczem rozeszła się pogłoska, że zginął w płomieniach wraz ze swoją żoną Peponilą; Tacyt zwię ją „Epponiną”, a Plutarch „Emponą”. Sabinus, odwróciwszy od siebie śledztwo i uwagę rządu, ukrywał się przez lat dziewięć w podziemnym lochu, podtrzymywany jedynie miłością i bezprzykładnem poświęceniem żony. Raz tylko opuścił swoje schronienie, ażeby, przebrany za niewolnika, towarzyszyć Peponili do Rzymu w celu wyjednania łaski dla męża. Napróżno mężna niewiasta błagała cesarza — Wespazjan pozostał niewzruszony; gdy zaś później wypadkowym sposobem odkryto schronienie Sabinusa, cesarz wydał rozkaz zgładzenia, nie tylko buntownika, lecz i jego pełnej poświęcenia małżonki. Peponila rzuciła do nóg cesarza dwoje swoich dzieci, urodzonych w lochu, a wskazując na nędzne i wybladłe ich twarzyczki odezwała się: „Cesarze! wychowałam te małeństwa w podziemnym lochu, ażeby własnymi ustami wybłagały przebaczenie dla ojca”. Wszyscy obecni tej scenie rozrzewnili się do łez — lecz Cezar pozostał nieubłagany. Tak więc zginęła

Peponila, pocieszając do śmierci tego, któremu wierność poprzysięgła.

Pomiędzy kobietami nieskazitelnej cnoty za czasów cesarstwa ukazują się postacie szlachetnej Plotiny, żony Ulpiusa Trajana, najznakomitszego z cesarzów rzymskich, obdarzonego od natury wielkością duszy i wyróżniającą się arodą. Plotiny charakter przedstawia wiele cech pokrewnych Kalpurnii — wzór czystości obyczajów, prostoty uczuć i kobiecej godności! Gdy po wstąpieniu na tron poraz pierwszy wchodziła do cesarskiego pałacu, zatrzymała się na schodach, a zwróciwszy się do orszaku, ślubowała wobec całego otoczenia: „Berło mojego małżonka w niczem nie zmieni mojej prostoty i skromności”. Plotina dotrzymała ślubu, a Dio Cassius tak się o niej wyraża: „w samej rzeczy, przez cały ciąg panowania życie jej było bez zarzutu.”

Niezaprzeczona i nieodwołalna jest prawda, że zdrożności wyrodnionych kobiet, druzgocących w jakikolwiek sposób zapory od natury im przeznaczone, wywołują o wiele więcej rozgłosu aniżeli ciche cnoty kapłanek domowego ogniska. Ztąd też historia świata, satyra i epigramaty przepełnione są opisami pojedynczych wypadków kroniki skandalicznej, taksamo o występkach księżniczek i arystokratek, jak i o kobietach o których oprócz ich nazwiska nie więcej nie wiemy.

Dla uratowania czei starożytnej Rzymianki należy czerpać wiadomości ze źródeł i listów prywatnych, pamiętając, że o najlepszej i pełnej zasług kobiecie mówi się jaknajmniej.

Z niemieckiego — E. Ecksteina.

## NOWINY PARYŻKIE.

(Dokończenie).

Dnia 30 Lipca 1892 r.

Jeszcze panna Chauvin. — Egzamin — Hulaśliwe demonstracje studenckie. — Odroczona obrona. — Interview z dawnym znajomym. — Panna Chauvin w domu. — Jej rozmowa. — Powtórne i ostateczne posiedzenie egzaminatorów. — Zwycięstwo i Doktorat. — Sprawa kryminalna. — Pani Raymond przed sądem Jury. — Uniewinnienie. — Eksploatacje i Eksploatatorowie. — Zabawna sprawa modniarki. — Eksploatacje uczonne. — P. Dybowski i jego wyprawy do Afryki; jego dzieła. Eksploatacje wyborcze. — Margrabia Morès i bracia. — Straszliwa katastrofa w Saint-Gervais.

Prawo we Francji otacza dzieci nasze opieką, której im odmawiało prawo rzymskie — i ta opieka pomalutka tak się rozszerzyła niebezpiecznie, że już zagraża upadkiem władzy ojcowskiej — patrz pani na pana Boba!..

To wyzwanie niespodziane bohatera z romansów Gipa, w pełni fakultetu prawnego, przez jegomościa w czerwonej todze, było czemciś arcy-nowożytnym i zgodnem chyba — z końcem wieku.

Panna Chauvin uśmiecha się tymczasem. Te ciągle sprzeczności i owe *distinguo* jej sędziów zdawały się jej straszną słabizną. A powiedzmy jeszcze prawdę, że jej teoria była sprawiedliwą.

Zapewne, w pewnym względzie może być rzeczą dobrą, wzbronić kobietom wstępu do pewnych urzędów publicznych — przyczyny względów społecznych mogą do tego zmuszać — lecz nie dopuszczać ich do pewnych zawodów, to już mniej zgodne ze zdrowym rozumem. A jeżeli wykładanie statystyki nikogo nie poniża, jak również i pełnienie urzędu notaryusza, to już należy do kobiet samych, a nie do nas bynajmniej: niech robia, jak chcą.

Jeden z panów egzaminatorów zwrócił uwagę na niebezpieczeństwo zbytniego przeładowania (*surmenage*) intelektualnego dla kobiet w ten sposób i na niezbędną potrzebę „zachowania rodzaju” (*conservation de l'espece*).

Ale, czyż to skompromituje zachowanie rodza-

ju ludzkiego, jeśli sześć lub ośm młodych panien oświadczy każdorocznie postanowienie poświęcić się nauce ekonomii politycznej, albo grecezyzny?

Panna Chauvin byłaby bezwzględnie wytlomaczyła na wszystkie doskonalę, gdyby jej była zostawiona swoboda w wytlomaczeniu czegośkolwiek. Ale zdawało się, że sędziowie lękają się zmęczyć ją zbyt — wzięli więc z jej rąk jej rozprawę, jakby jaki wachlarz albo jakie pudełko cukierków, z uśmiechem grzeczności: pozwól nam pani — ta rozprawa pierwsza za ciężka na jej rączki — i my ją *podtrzymamy*, na miejscu pani!...

I to dało im okazyją, że przez półtorej godziny byli okrywani rzesistami oklaskami dwustu młodych aspirantów, którzy uważaliby może za poniżenie przyznać naukę i rozum młodej dziewczynie!

Ale dosyć na tem. Doktorem być chciała — i jest Doktorem. Rozpisałem się dłużej o całej tej sprawie, bo, jak mówiłem, ta pani jest to pierwszy tu doktor prawa — a jej tak świetne powodzenie nada teraz kierunek nowy — *na prawo!* jak dawniej na medycynę — całej tej falandze panien biorących szturmem Sorbonnę.

Nie od dzisiaj — to zresztą kobieta czuje w sobie pociąg do drzewa wiadomości — a jak ktoś zauważył dowiepuie, widziano już tego przykład w Raju, tylko niedokładnie może wytlomaczono słowa kusiciela, który powiedział zapewne do matki Ewy: „Jedź! a będziesz podobna człowiekowi!”

Tak było, a i dziś jeszcze ten owoc wiedzy nie spożywa się bez troski i kosztu: kobieta traci w tem coś ze swoich wdzięków. Ale jakkolwiek — bądź, ciekawą jest rzeczą do zapamiętania, że w tej chwili wszelkie zawody, zwłaszcza wyzwolone, stały się przedmiotem ambicji niewieściej. Kobieta staje się istotą pozytywną — i jeśli chce iść w ślady mężczyzn tylko w takich zawodach, które przynoszą pewien zysk...

Czyż to nie lepiej, nie szlachetniej, niżeli się puszczać na bezdroża, gdzie się traci wszystko w ryzykownych zawodach?..

Oto właśnie współcześnie z tem pięknem wystąpieniem panny Chauvin wytoczyła się brudna i niecna sprawa pani Reymond, bohaterki dramatu miłosnego, znanego pod imieniem dramatu przy ulicy du Rocher, o którym w swoim czasie wam doniosłem. Winowajczyni zabójstwa stanęła przed sądem przysięgłych, ale postanowiono w tej sprawie ograniczyć sąd do najprostszyc formalności — i zakończyć za jednym posiedzeniem.

Osoby tego dramatu są już wam dostatecznie znane z poprzedniej wzmianki. Z jednej strony p. Lassimone radca prefekturalny w Blois i jego żona, Janina (Yvonne) Delaporte, córka obrońcy (*Avoué*) paryżskiego, i przyjaciółka z pensyi pani Reymond; ze strony przeciwnej: p. Reymond, makler handlowy, i jego żona z domu Défly, córka kupca, który całą swą fortunę zrobił na Wyspach Antylskich...

Wszystko było też również opowiedziane, co zaszło w ostatecznej sceny morderstwa przy ulicy du Rocher. Nie będę więc się zajmował znowu temi szczegółami, któreby były dla was zbyt cenne. Co tu jest najważniejszego, to wyświetlenie pojęcia małżonków i stosunków towarzyskich tej klasy mieszczaństwa paryżskiego; ale na to potrzeba więcej miejsca, niż ja go mam w swym liście, — i w końcu szczegóły te są bardziej gorzkie, niż nauczające.

Cała, choć długa, audyencya zapełniona została indygacją dosyć treściwą, obwinionych i świadków, i czytaniem bardzo ciekawej korespondencji obu kobiet. Pozwólcie tylko, abym wam dał tu pobieżny szkic pojęcia małżonków Reymond.

P. Reymond jest to człowiek lat trzydziestu: słuszny, szczupły, wyperfumowany i wypomadowany, mydełkowicz, przystojny zdobywca (*conquérant*). Ma jasne wąsy, sterczące do góry, i ostre też przeszywające, niekiedy harde, innym razem cyniczne spojrzenie. Opowiada ten jegożość na pytania, trzymając się ręką pod bok, i odwrócony tyłem do żony, głosem obojętnym, suchym, jakgdyby tu chodziło o sprawę, nie jego własną, ale całkiem obcej osoby.

Pani Reymond, żona jego, jest to młoda kobieta lat dwudziestu sześciu, brunetka, z twarzą bladą, bardziej pokaźną, niż piękną, której rysy wyraziście i energicznie zatrzymują uwagę. W pięknej toale-

cie, — wskazanej tu specjalnie na audyencyę trybunału przysięgłych — bo tu na wszystko musi być moda — ma na głowie o obfitych czarnych włosach, elegancki kapelusik ozdobiony dżetem i dżetową także, czarną jedwabną mantylę.

Opowiadano sobie przed audyencyą o jakichś odkryciach skandalicznych, o korespondencyi dwóch rodzin. Pokazało się, że to były tylko puste ploteczki, a sprawa pojęcia państwa Reymond ze sobą stanowi tylko jedną z tych komedii obłudy, tak dziś licznych, tak, niestety, upowszechniających się w życiu obyczajowym.

Po treściwszych badaniach przeprowadzonych przez prezydenta, po wymownych przemówieniach za i przeciw adwokata, po rekwiizytoryum dość łagodnem prokuratora, który głos swój zakończył konkluzją, że niema zbrodni z namietności, są tylko poprostu zbrodnie, jak skorzystał z tego ostrzeżenia sąd przysięgłych? Po kilku zaledwie minutach narad, panowie *les jurés* przynoszą werdykt — uniewinniający panią Reymond!

Nie wychodząc z zakresu działalności kobiety — i sądownictwa, potrzeba tu zapisać dosyć ciekawą sprawę, w której główną rolę odegręwa modniarka paryżka, niejaka pani Apparati znana tu, nie tylko jako twórczyni niesłychanych kapeluszy i strojów, ale nadto jako dyrektorka specjalnego pisma, pod tytułem: „Poradnik pań i panien“ (*Conseiller des dames et des demoiselles*).

Mówiono już nieraz o tej szerokiej eksploacyi przez handlarzy paryżskich przyjezdnych gołąbków z całego świata. Pokazuje się z tej fantastycznej awantury pani Apparati, że nie tylko cudzoziemskie gołąbki są łatwe do skubania, ale, że i czysto paryżkie jętki, ćmy i motyle — lecą na zabój w płomienie rozpalane przez oszustów.

Jednem słowem: dyrektorka poradnika umiała sobie tak zręcznie poradzić, że tu wśród Paryża, gdzie przecież wszelkie informacje są łatwe i dostępne, ona, rodowita Francuzka, choć nazwisko ma w sobie coś włoskiego, z prowincyi, z Burgundyi — poznawszy to dzisiejsze usposobienie ogólne, postanowiła wyzyskać namietność, która owładnęła dziś wszystkich, aby zrobić wielką fortunę. Trzeba jej przyznać, że tego dokazała w pełni.

Zmyśliwszy więc, jak się pokazuje dzisiaj, zmyśliwszy stosunki, których rzeczywiście nie miała, tak zręcznie manewrowała wśród zaciekawionych i wymową jej zachwycanych fabrykantów i kupców paryżskich, że podskubała ich na błahą sumkę — czterech milionów franków!

Czyście słyszeli dobrze? Cztery miliony! Jakiego to zaślepienia — jakiej potrzeba było głupoty, aby się dać oskubać w ten sposób, aby uwierzyć, choćby w najlepiej sfalszowaną korespondencyą, że ta modniarka — odbiera obstalunki, które w przecięciu miesięcznem wynoszą od 10.000 do 300.000 tysięcy franków — i to na kredyt!

Dziś kiedy policya i sąd zajęły się to sprawą, znaleziono rachunki, w których suknia za 30.000 fr. idzie w parze z wazonem sewskim 100.000 fr., piękne wachlarze dochodzą do ceny 20.000 fr., zarękawek jest oceniony za skromną sumę 200.000 fr. — i tym podobne oszustwa.

Przezorna dyrektorka, wypompowawszy w taki sposób wszelką możliwą wodę z Sekwany, wyniosła się z Francyi. Ale przebrała miarę, nie umiała wporę tego igrania z kupcami i przyjaciółkami zaprzestać. Potknęła się o szkopuł, o 6.000 fr., których zażądała od swej przyjaciółki z Paryża; obudziła podejrzenia, te wywołały śledztwo, a śledztwo doprowadziło właśnie nad tę przepaść, w którą dostawcy wrzucili swoje cztery miliony.

Wierzyiele tej awanturnicy, dowiedziawszy się — zapóźno, niestety, — jak zostali oszukani, podali skargę, założyli protest. Sprawa wytoczy się przed sądy, ale pieniądze jak się raz potoczyły, tak już do kieszeni oszukanych nie wróca.

A, ponieważ zawiła kwestya eksploacyi znalazła się już pod moim piórem, pozwólcie kilka słów o tem powiedzieć, co jest na czasie, w modzie. A naprzód, zrozumiejmy się, aby uniknąć zamieszania. Są bowiem dwa rodzaje eksploacyi i eksploatorów: *primo* — ci, co z poświęceniem fortuny, a częściej zdrowia i życia, puszcza się na

odkrycia w dalekie, nieznane zabójcze obszary — jak na przykład, owe afrykańskie kraje: i *secundo* — ci, którzy na wzór pani Apparati, i *tutti quanti* — wyrysują kieszonki albo głupotę współbraci, dla pewnych celów osobistych.

Dwa przykłady, dwa słowa:

*Quo ad primum*. Młody nasz rodak p. Jan Dybowski, który, na początku tego roku, potrafił pomścić śmierci Crampela (także wędrownika po Afryce) i wykonać dzielnie największą część misyi, którą mu powierzyło „Towarzystwo francuskiej Afryki“, powrócił już do Francyi, bo go do powrotu zmusiła ciężka choroba. Potrafił on się już odznaczyć poprzednio w wyprawie podjętej do ostatecznych kresów Algeryi południowej, i opisał ją w książce pod tytułem: „Sahara Algierska“. Dziś ledwie powstały na nogi, przygotowuje do druku dalszy ciąg tej ciekawej książki, pod tytułem: „Ostatni kres południowej Algeryi“ ogłoszony już w części w uczonym przeglądzie: *Archives des missions scientifiques et littéraires* (Paris, Leroux, 1892).

To ostatnie dzieło podaje do wiadomości nieuczonych wyniki tej podróży naszego rodaka pod względem historyi naturalnej. P. Dybowski, adiunkt (*Maître de Conférences*) w szkole narodowej rolniczej w Grignon, miał wszelkie zalety i kwalifikacye do poświęcenia się tego rodzaju badaniom, które mają na celu przez opisywanie: ziół, drzew, kwiatów i lasów tej strefy zaledwie znanej pobieżnie wytworzyć jakby stałe umysłowe przewodnictwo, zbiór szczegółowych wskazówek do tych prób aklimatacyi, zaludnienia i kolonizacyi, jakieby mogły być przedsiębrane na przyszłość. I rzeczywiście, jest to rzecz pożyteczna, aby otrzymać cały zysk możliwy z obszarów poddanych wpływowi Francyi, — zwrócić szczególną uwagę na mineralne zasoby kraju, aby ulepszyć i rozwinąć uprawę i produkcyą. To też daje on opis szczegółowy, ważnych zbiorów, które zgromadził w tej podróży.

Książka rozpoczyna się ogólnem rzutem oka na te kresy pustyni, które autor nazywa: *Région désertique*, zaczawszy od: Oued, Rirh, Tuggurt, Uargla, następuje El-Golea, Ued Mugiden, a zaraz potem rozumowany katalog i opis zebranych okazów w Saharze, tak pod względem dzisiejszej jak i przedhistorycznej flory i fauny. Po podobnem zdaniu sprawy z ostatniej, obecnej, wyprawy nad Ubangi ku jezioru Czad, nie omieszkamy czytelników naszych zawiadomić o wyjściu książki i podać ważniejszych z niej faktów.

Teraz przechodzimy do eksploatorów drugiego gatunku.

Kiedy poraz pierwszy w czasie ostatniej zimy obdartusi uliczni, których tu zowią: *Camelots*, gardłowali wzdłuż bulwarów, nawołując: — „Żądajcie „kredytu uwyryskiego“ przez Moręsa i jego przyjaciół“ — ani się domyślano, że ten rodzaj spółki tak hałaśliwie rozbudzi niby uśpioną opinią publiczną. Wrzawa świeżo stoczonej walki, w której padł ofiarą jeden ze znakomitych oficerów armii — o czem mówiłem już w poprzednich listach, — wywołała na szerszą widownię tych ludzi o wojowniczej postawie, i ciekawość zwróciła na nich swe bystre oko.

Nie będę się tu zajmował ich przewodną myślą; nie braknie tych, którzy poświęcają temu swój czas i swe pióro. Ale nim znikną z horyzontu ciekawości, może być rzeczą zajmującą, schwycić w lekkich szkicach, sylwetki tych ludzi niezapieczonej oryginalności.

Znamy już naczelnika tej grupy, margrabiego Moręsa, syn księcia Valambrosa, pochodzenia włoskiego — rodzi się on z Francuzki, księżniczki de Cars, więc jest spokrewniony z najpierwszemi rodzinami arystokracji obudwu krajów. Nie mam potrzeby rozpoczynać tu nanowo opisu jego atletycznej postawy i opowiadać o jego romantycznych awanturach na obu półkulach ziemi. Ale nie mogę zamilczeć o jego przyjaciółach mniej znanych, o jego pilnych współpracownikach, w liczbie trzech, a tymi są: de Lamasse, Juliusz Guérin, Gustaw Vallée.

Na zebraniach publicznych, widzieć było można panujących ponad tłumem gapiów trzech wielkich drabów o szerokich plecach, o prawdziwie herkulesowych barach i pięściach: Morsęa, Guérin'a

i Valléego. Wszyscy trzej jednego prawie wieku, jednego wzrostu — trzej muszkietierów z omadzeń publicznych. Tak ich tu przezowano.

Hrabia p. de Lamasse — jest to pewien rodzaj ministra spraw wewnętrznych tej grupy. Jest to głowa tego dziwnego stronnictwa, wielki erudyta zna on na wylot kwestyę żydowską, znał ją nawet dawno przed ukazaniem się pierwszej książki p. Drumonta. Wywiera on wpływ ważny na swych przyjaciół, człowiek zimny, rządzący sobą rozważnie, ale zuchwały i rzucający się na najśmielsze teorie, nigdy przecież nie tracący głowy. Ma on dziś lat czterdzieści, pochodzi ze starożytnej monarchicznej rodziny w Périgord i był tam dawniej współpracownikiem prasy monarchicznej; on jeden z pierwszych przez nienawiść do Orleanów zaznaczył otwarcie i głośne przejście katolików do rzeczypospolitej.

Powiadają, że miał z tego względu długie posłuchanie u Papieża, o którym było dużo mowy w dziennikach. Następnie zwrócił się do Morèsa przez swe upodobanie w doktrynach krańcowych, i przyjął znakomity udział, dzięki swej znajomości kwestyi socyalnych, przy organizacji kredytu uwryerskiego. Wiadomo, że się pojedyńkował z kapitanem Crémieux z powodu artykułów Drumonta — jeszcze i przed nieszczęśliwym zabiciem przez Morèsa kapitana artylerji Meyera.

Juliusz Guérin był często brany za swego towarzysza też Juliusza Guérina, redaktora głównego *Gil Blas*a, albo jeszcze za innego Guérina, autora książki: „*Kwestya socyalna*“ a przyjaciela Drumonta. Jest on najmłodszy z tego towarzystwa krzykaczy i maniaków, namiętny aż do zaślepienia, patrzy na świat oczyma nabiegłemi krwią, fechtuje się, boksuje, bije na szpady i pałasze *expedite*; od dzieciństwa nawykły do wiosłowania, celuje w tej sztuce — a zarazem jest mową popularnym, mówi z wielką swobodą, dobiera słów silnych, ciężkich, spadających na głowy jak kamienie, przemawia zwykle do młodzieży, do której należy ze swego wieku; urodzony na przedmieściu Belleville — gdzie stale mieszka, jest ciągle prawdziwym dzieckiem Paryża. Zamłodu włożony do handlu, zarządza dziś składem nafty w Aubervilliers; w dzień, zajmuje się sprawami swego handlu, wieczorem uczęszcza na zgromadzenia publiczne, zwiedza kawiarnie ludowe, zjawia się na różnych wieczornych konwentach *civium gallicorum*. Nie przeszkadza mu to być na nogach ze świtem, aby się ćwiczyć w ulubionych zabawach i tym *sljoidzie* ciała, którego przeznaczeniem w praktyce są pojedyńkowe morderdy. Kiedy Guérin śpi — trudno zgadnąć; zbudowany silnie wytrzymuje on z łatwością tego rodzaju życie bez wypoczynku.

Najciekawszą osobistością z czwórki hecarchy socyologicznych bez zaprzeczenia jest Vallée, ślusarz mechanik. Jest to prawdziwy *gamin* paryżki, malowniczy *uwryer* z przedmieścia La Villette. — Wyobraźcie sobie chłopca, mającego dobrych sześć stóp wzrostu, odzianego w kurtę, spodnie szerokie i kamizelę z aksamitu wełnianego *à côtes*, z karkiem byka młodego, z ruchami i wyrażeniami ulicznika z przedmieść. Na przedmieściu, gdzie jest bardzo popularnym, nazywają go zwykle „*Populo*“. I jest to rzeczywiście prawdziwe wcielenie drwinkującego sobie ze wszystkiego, ale pocziwego urwisa. Na zgromadzeniach publicznych jego przedmiejska wymowa doznaje kolosalnego powodzenia. Gadatliwy bez miary, a przytem obdarzony metaforyczną wyobraźnią, Vallée mówi, jakby miał w sobie źródło ukrytych słów płynących potokiem, układających się w malownicze wyrażenia, — wkpiny, drwinki i cyniczne nieraz wycieczki przeciwko ludziom i rzeczom, jednostkom i ogółowi.

W czasie komuny miał on zaledwie lat piętnaście, a już nosił flintę. Na swój malowniczy sposób opowiada Vallée: jak zbierano się w kopalniach kamienia pod koniec cesarstwa, kiedy tam schodzili się, szerząc socjalizm rewolucyjny, tacy ludzie jak: Juliusz Simon i inni, dziś innemi kroczący drogami. Jest to prawdziwy poemat, kiedy Vallée maluje te czasy, kiedy on sam, „*Populo*“, był oczarowanym uczniem i słuchaczem dzisiejszego prezydenta: „*Ligi przeciw licencji ulicznej*“.

Ideał Vallée'go jest to dawniejsza organizacja, składająca się z małych pracowni, gdzie majster, towarzysz prawie swych czeladników, w Niedzielę szedł wraz z nimi na smażone rybki do jakiejś *gargoty* przedmiejskiej.

Grupa pod firmą: „*Morès i przyjaciele*“ nie ma żadnego wpływu na redakcyę dziennika Drumonta *La Libre parole*. Rola tych wojowniczych burzymuchów — jest czysto uliczna. Działają oni wszakże równolegle z dziennikiem i zajmują się wyłącznie skupianiem klasy robotniczej, uczęszczają na zgromadzenia publiczne i działają wprost na lud paryżki. Są oni socyalistami, ale się nazywają „*Socyalistami narodowymi*“ i walczą przeciw socyalistom międzynarodowym.

Cała taktyka tych panów oparta jest na tem znanem już dobrze kuglarstwie słowa, gdzie dobrze wyparzona gęba, korzystając z nerwowego usposobienia, motłochu, umie, jak to powiadają Francuzi: — „*sprzedać pęcherz za latarnię*“ — zrobić sobie miejsce wśród tłumu, schlebując jego namiętnościom i słabostkom, i utorować sobie drogę do parlamentu — zkaż już szeroki gościniec prowadzi do franków, do wszystkiego, do ustalonego, wpływu na innych, i do sławy.

Tu, jak widzimy, p. Margrabia i p. Hrabia eksploatują płytkie głowy przyszłych wyborców, grają raz przyjętą rolę — z całą odwagą ludzi, co dawno już za sobą spalili mosty i łodzie. P. Margrabia przebywa w tej chwili w Szwajcaryi, a sprawa jego pojedyńku, powiadają, została odroczone, do ostatnich dni Sierpnia.

Tymczasem, tam z Mont Blanc, może dojrzeć wąwóz Saint Gervais i poznać jak blisko z Kapitolu do Tarpejskiej skały! — a co do tego, słówko jeszcze.

Straszliwy wypadek, który się wydarzył w nocy 12-go Lipca, w Górnej Sabaudyi, niosąc przeobrażenie wśród spokojnej ludności tego departamentu, rozbudził uspionych bezpiecznie Paryżanów jakby uderzeniem gromu i okrył żałobą liczne rodziny Francyi.

Wieś Saint-Gervais prawie zupełnie zniknęła zagrzebana pod wzburzonymi falami potoku, zwanego Bionnay, wezbranego nagle wskutek nieprzewidzianego stoczenia się lodowca Bionassley.

Zakład kąpielowy w Saint-Gervais, dobrze znany Paryżanom i całej Francyi, którego położenie malownicze u stóp góry Mont-Blanc, w głębokim i ciasnym wąwozie budziło zachwycenie każdego przychodnia, uległ okropnemu ostatecznie zniszczeniu w tę noc fatalną, grzebiąc w swoich rumowiskach przeszło sto trupów.

Okrutna ta katastrofa, spowodowana, jakżeśmy mówili, usunięciem się nagle olbrzymiego lodowca Bionassley, położonego tuż przy skale zwanej Le Dôme du Goulet. Ogromne były skały lodowca pod wpływem wysokiej temperatury tego lata poodrywały się od skał i zawałyły łożo potoku, który okrutnie wezbrany, pędząc w dolinę, zniszczył i uniósł, jakby zdźbło słomy, wieś Bionnay.

Wówczas-to ruiny i resztki pokruszonych domów i wszelkiej budowli zawałyły bieg drugiego potoku zwanego Le Grand-Nant, przy którym znajdował się zakład leczniczy Saint-Gervais, a niżej i sama wioseczka tegoż nazwiska. Kata-

strofa, jak mówiłem, wydarzyła się w nocy z Poniedziałku 11-go na Wtorek 12-go Lipca, około kwadrans na 3-cią z rana. W chwili zniszczenia kolumna wody, mająca jakie dziesięć metrów wysokości, pełna błota, kamieni, szczątków lodowca, ogromnych odłamów skał, wielkich jak całe domy, runęła w ten wąwóz, z szybkością kuli armatniej zmiatając i unosząc wszystko w swym biegu: domy, drzewa, i ludzi. Sąsiednia wioska, zwana du Fayet, również została zniszczoną; we dwie godziny wszystko było skończone, potok stoczył się do rzeczki Arwy — a w miejsce zachwycającej okolicy został nasyp gruzów i błota, który zrównał z ziemią mieszkania ludzkie.

Nikt nie jest w stanie opisać tego zniszczenia, jakie przedstawiał zakład leczniczy i wieś Bionnay zaraz po tej katastrofie. Mieszkańcy wsi i zakładu zaskoczeni w śnie głębokim, stracili życie bez obudzenia się nawet: położenie trupów świadczy o tem dowodnie. Na samą myśl o tem człowiek najmężniejszy truchleje. Cały wąwóz zalany błotem, w którym widziano poszarpane ciała nieszczęśliwych ofiar; z całego ogromnego zakładu pozostało jedno tylko skrzydło, i to w jakimże stanie? Ile to potrzeba czasu i pracy, aby ogrzebać to, co zostało zniszczone w jednym okamgnieniu. Tutaj to można zmierzyć: ile jest warte nasze nędzne życie; ile są warte nasze zmysły, nasza zmysłowa potęga! Jedno uderzenie bożego palca — et... *pereat mundus*.

## MYŚLI

— Dobre obyczaje rodzą się z uczuć szlachetnych, z miłości tego, co uczciwe i czyste, ze wstrętu do rzeczy niskich i brudnych.

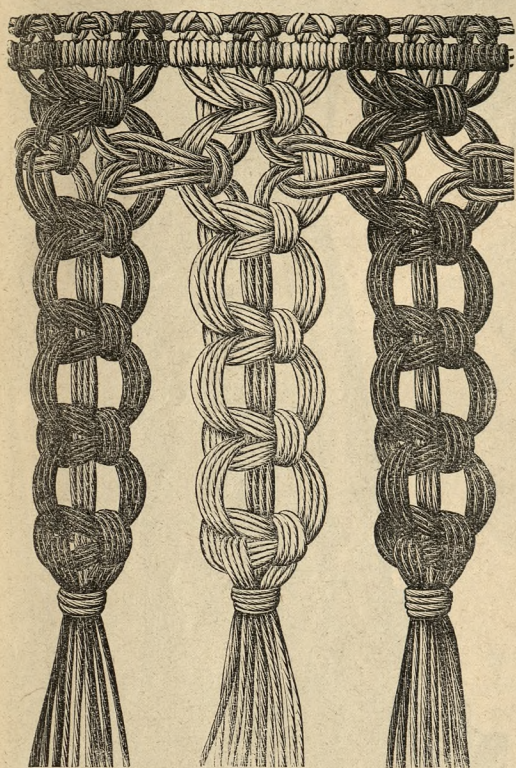
— Kto raz poddał się panowaniu namiętności, ten nie zdoła już zrozumieć powodów, nakazujących mu walkę z nią i pokonanie jej.

— Nasienie dobra potrzebuje paść na grunt odpowiedni sobie, aby weszło i plon wydało. Grunt ten musi przecie wytworzyć się z uczciwych nawyknień, ze wstrętu do złego i ukochania szlachetnych ideałów życia.

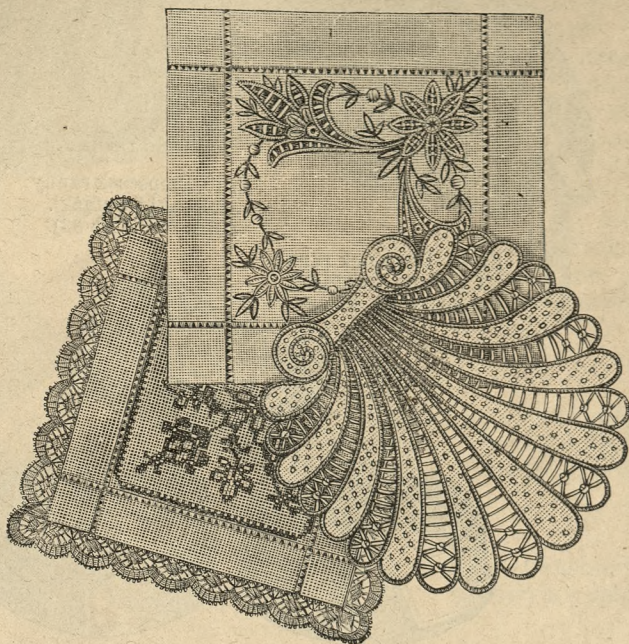
Do dzisiejszego numeru „*Bluszczu*“ dołącza się: Arkusz 2 tomu II-go powieści pod tytułem *Złudzenie i rzeczywistość*, przez Beatrycę Whitby. Przekład z angielskiego.

**TREŚĆ:** Wychowanie córek. — Tomcio i Romcio, humoreska przez Esteję (dalszy ciąg). — Przegląd teatralny, przez Stanisława Krzemińskiego. — Kobieta w starożytnym Rzymie. — Nowiny paryżkie. — Myśli.

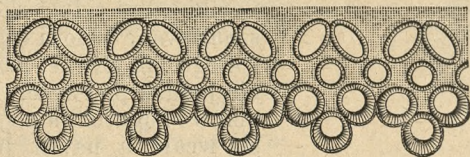
**Dodatek obejmuje:** Arkusz 2-gi tomu II-go powieści pod tytułem *Złudzenie i rzeczywistość* przez Beatrycę Whitby. Przekład z angielskiego. Przegląd mód. 41 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.



Nr 5. Frendzla do serwet (robota wiązana).  
Opis w Bl. Nr 33.



Nr 2—4. Serwetki do jaj z haftem (do ryc. Nr 9).  
Deseń pierw. str. tabl. Nr XI, fig. 33 i odwr. str. tabl. Nr XXI,  
fig. 73 (Opis w Bl. Nr 33).



Nr 1. Szlaczek do bielizny (haft biały).



Nr 6. Ranny kaftanik ozdobiony koronką.  
(Opis w Bl. Nr 33).

## KORESPONDENCYA ZAGRANICZNA Z DZIEDZINY MÓD.

*Ostenda w Sierpniu.*

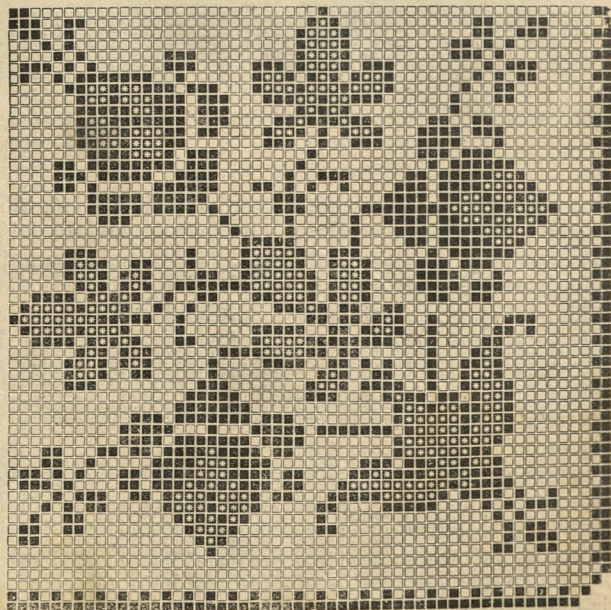
Jak straszny jest despotyzm mody przekonałam się następującym faktem: jadąc z Kolonii do Ostendy, co chwila wsiadali nowi podróżni, naturalnie kobiety w kapeluszach różnolitego fasonu, na widok których usta moje i mojej towarzyszkii mimowoli skłaniały się do śmiechu, czasem nawet śmiech głośny wybuchał! a jednak nie więcej, jak dwa, trzy lata najdalej, takież kapelusze były modne!

Nie będąc 20 lat przeszło w Ostendzie, znalazłam ją inną, zupełnie zmienioną na korzyść, a owe stroje bajeczne, o których tyle się mówi, są to plotki na tutejszą miejscowość, kto bywał i bywa w Karlsbadzie, ten wie, co to są stroje u wód, tam dopiero uwydatnia się cały Paryż, a w tym zbiegowisku całoswiatowym spotykasz wszelkie narodowe stroje w najwspanialszych przeobrażeniach, obok najwyższej elegancji paryskiej w przedstawicielkach wyższego towarzystwa Paryża, Wiednia i innych stolic Europy. A dzieje się to dla tego, iż Karlsbad i Maryenbad są jedyne źródła



Nr 7. Suknia forma „princesse”  
(Opis w Bl. Nr 33).

Nr 8. Suknia z krepy cieniowanej i jedwabnego  
materyału z haftem. (Opis w Bl. Nr 33).



Nr 9. Deseń do ryc. Nr 2 (robota krzyżowa).

świata, morza zaś mają wiele brzegów, u których rozrzucają turystów, szukających zdrowia i powietrza, w Karlsbadzie zbiera się odrazu w jednym sezonie 12 do 15 tysięcy ludzi, czego u żadnego morskiego brzegu nie znajdziesz.

W ogóle tualety są tu bardzo zwyczajne, bo kilka lub nawet kilkanaście wyjątków, które na palcach policzyć można, do ogółu zaliczyć nie podobna. Suknie białe z wigoniem lub grubej wełny przeważnie noszą eleganci z krótkim takimże batysty lub lekkie wełny w bukiety zawsze z odmienną bluzką i paskiem ze skóry, złota lub wstążki, związanej w tyle w bardzo długo spadające końce, zwykle poczwórne lub podwójne z jedną długą kokardą, wstążka bywa tylko na 6 do 8 centim. szerokość: często zastępuje je niski szwajcarski pasek. Oprócz wigoni i szewiotu widać bardzo wiele jasnych wełnianych w drobne paseczki różowe, niebieskie, lila, granatowe, i w ogóle wszystkie materyały, czy grubsze czy lżejsze, są w paski. Ponieważ, jak powiedziałam wyżej, bluzki i koszulki są koniecznym dopełnieniem lekkiego paletocika, więc cała kokieteria tego układu zależy na wyborze i obmyśleniu tego, co widać z pod paletocika: noszą znane bluzki jedwabne lub batystowe, dziś zupełnie krót-



Nr 11. Czepeczek ranny z koronki i wstążki. (Opis w Bl. Nr 33).



Nr 10. Czepeczek ranny z koronki i wstążki. (Opis w Bl. Nr 33).



Nr 12—14. Kołnierzyki i mankiety damskie. (Krój i opis pierw. str. tabl. Nr X, fig. 29—32).

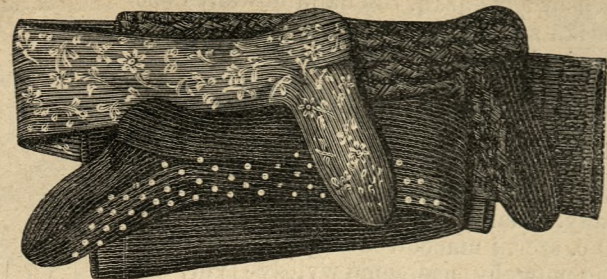
Buciki noszą tylko skórzane sznurowane koloru ceglasto-żółtego lub czarne, przeważnie jednak pierwsze. Kaftaników „figaro“ nie spotyka się wcale a nawet peleryn mniej, niżeli paletocików, bo pomimo, iż wiatr morski zawsze daje chłód, po większej części wszyscy chodzą do



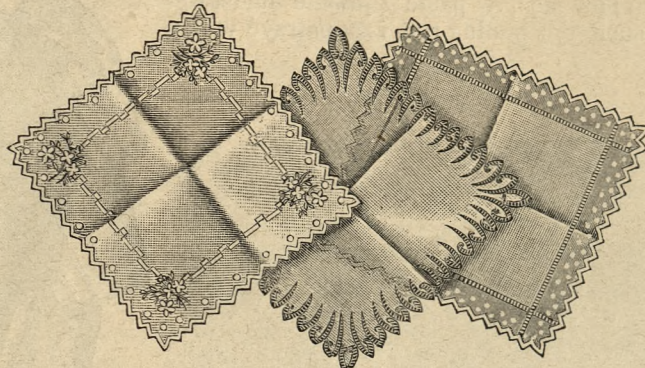
Nr 21. Plecy do ryc. Nr 31.

Nr 22. Plecy do ryc. Nr 28.

Nr 23. Plecy do ryc. Nr 29.



Nr 15—17. Damskie pończochy.



Nr 18—20. Chustki do nosa damskie.

figury w bluzkach lub stanikach z paskiem. Rękawy chociaż zawsze jeszcze wysokie i szerokie w górze, w każdym razie nie tak przesadzone, jak to bywa jeszcze u nas, bardzo często na 20—30 c. u ręki wszyte w mankiet czarny lub biały koronkowy.

Młode osoby noszą także pelerynki sukienne krótkie bez podszewki z kapturkiem, jak u nas dzieci, lub też wycinane w żąbki, o dwóch, trzech kondygnacjach, tak zwane „cocher“



Nr 24. Suknia z „satin merveilleux“ gładkiego i w paski.

Nr 25. Suknia formą „princesse“ ubrana pasmanterią.



Nr 28. Okrycie z koronkowej chustki (do ryc. Nr 22). Wzór kroju fig. II, pierw. str. tabl.

Nr 29. Suknia formą „princesse“ (do ryc. Nr 23). Krój i opis pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—3.

Nr 30. Fiszotka z koronki i wstążki.

Nr 31. Suknia z zefiru z koronką i wstążką (do ryc. Nr 21).

unas noszone już lat parę. Głównie jednak, gdy chłód i wiatr nie pozwala pokazać się do figury, wdziewają na siebie eleganci surduty męskie „redingote“, którego model już na wiosnę przywiozła z Paryża pani Thones, Nowo-Senatorska 4. Surduty takie nie są nigdy czarne, ale zawsze w dzikich kolorach, jest to jednak podług nas tak niezgrabne okrycie, że najzgrabniejsza figura się w nim zatracza. Peleryny u brzegów morza są nie możliwe z powodu wiatru, któryby je unosił w górę. Dla tego też dzieci nie noszą dużych słomianych kapeluszy, ale małe dżokejskie lub inne czapeczki, do lat dziesięciu wszystkie dzieci noszą krótkie skarpetki czarne i pantofelki, ubranie marynarskie. A kapelusze—wszystkie są zręczne i ładne, ale prawie wszystkie jednego ogólnie dziś przyjętego angielskiego fasonu, upięcie stanowi tylko różnicę, niektóre są tak zręcznie ubrane, że się oka od nich oderwać nie chce, strojnych mało, no ale są i zawsze ładne.

L. C.

### Pończochy damskie.

Rycina Nr 15—17.

Pończochy bawełniane niebieskie, wykonane robotą maszynową w deseń drukowany koloru białego, pończochy czarne niciane, oraz czarne fil d'Ecosse w muszki, wykonane jedwabiem żółtym.

### Chusteczki damskie do nosa

Rycina Nr 18—20.

Chusteczki małe batystowe, ozdobione haftem białym lub kolorowym i dzierganymi żąbkami.



Nr 26. Suknia z bluzką i szarfą. (Krój pierw. str. tabl. Nr III, fig. 16 i 17).

Nr 27. Suknia z haftowanym paskiem.

### Suknia z „zefiru“ przybrana koronką i wstążką.

Rycina Nr 21 i 31.

Suknia z „zefiru“ koloru niebieskiego w deseń koloru czarnego. Spódnica cała podszycita lekkim materyałem tegoż koloru. Stanik zapinany z tyłu, zaopatrzony podszewką, przybrany podług ryc. koronką gipiurową i czarną atlasową wstążką 6 c. szer.

### Suknia z atlasu „merveilleux“ gładkiego i w pasy.

Rycina Nr 24.

Suknia z atlasu „merveilleux“ w kolorze gładkim białym i niebieskim, oraz w pasy białe z niebieskim, złożona z spódnicy i z stanika. Spódnica cała na podszewce. Stanik zapinany na bok. Napierśnik z materyału białego. Całość wykończyć podług ryc.



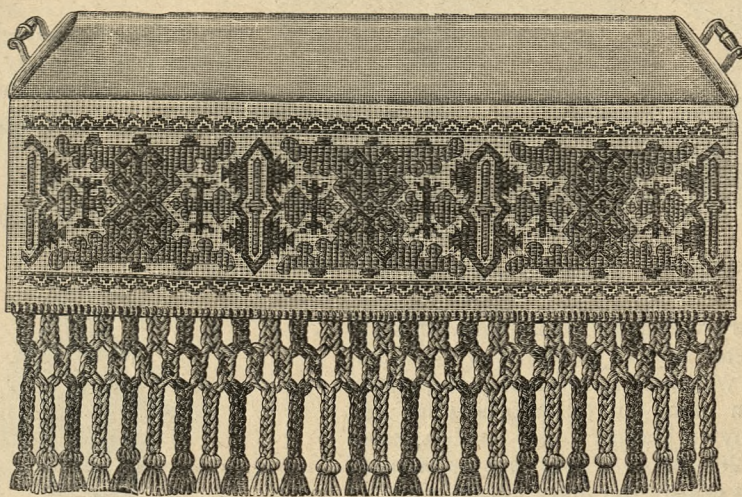
Nr 33. Kapelusz z bastu i fantazyjnej słomki.  
Nr 34. Fiszutka z koronki i wstążki

kiego, przybrana białą repsową wstążką. Stanik fałdowany i uzupełniony rodzajem gorsecika z bengaliny białej, w bukietu haftowane jedwabiami. Rękawy odpowiednio wykonane.

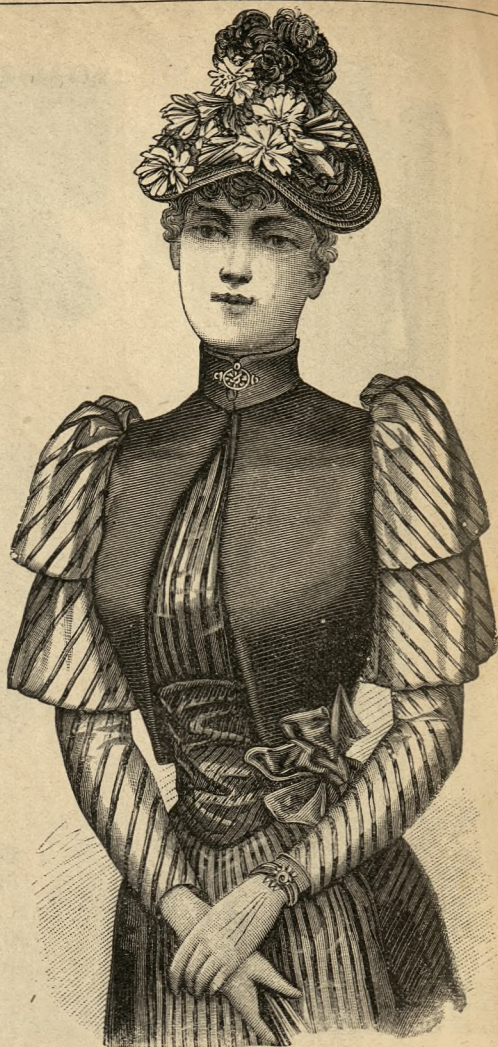
### Mantylka ułożona z chustki koronkowej.

Rycina Nr 28 i 22. (Krój pierw. str. tabl. fig. II).

Chustka trójkątna koronkowa 135 c. dług. podług podanego kroju ułożona w fałdy. Zmarszczyć na ramionach stosownie do wskazanej linii na 10 c. szer. i umocować każdy  $\dagger$  na kropce, pozostawiając róg według potrzeby, następnie wyłożyć tylny róg, trafiając \* a na kropkę a. We więcej fałdy umocować, trafiając każdy  $\dagger$  na kropkę i wszyć wstążeczkę dla przytrzymywania w pasie. Nakoniec znajdujący się  $\dagger$  w pasie z przodu umocować na kropce. Ozdobić pasmanterią podług ryc. i zaopatrzyć w hafki do zapinania.



Nr 32. Serweta na stół z haftem. (Deseń odwr. str. tabl. Nr XXII, fig. 74). Opis w Bl. Nr 33.



Nr 35. Kapelusz z bastu i fantazyjnej słomki.  
Nr 36. Stanik z szerokim paskiem i kaftanikiem bez rękawów. (Op. w Bl. Nr 33).

### Suknia formą „princesse” ozdobiona pasmanterią.

Rycina Nr 25.

Suknia z kaszmiru indyjskiego koloru zielonego, przybrana pasmanterią jedwabną tegoż koloru. Napierśnik z „surah” koloru różowego.

### Suknia z bluzką i z szarfą.

Rycina Nr 26. (Krój pierw. str. tabl. Nr III, fig. 16 i 17).

Suknia złożona ze spódnicy z szewiotu koloru granatowego i z bluzki z muszlinu wełnianego ponowego w czarne kropki. Spódnice wykonać całą na podszewce podług kroju fig. III teje tablicy, ale bez trenu. Dolna część przybrana ukośnymi plisami. Bluzę skrajać po dopełnieniu złożonych fig. 16 i 17, podług fig. 16 jedną część złożoną wzdłuż środka, a podług fig. 17 rękawy. W bluzie wykonać szwy ramienne, wszyć stojący kołnierzyk 5 cent. wysoki, zaopatrzyć podkładem i podszewką. Przybrać koronką 160 c. dług. a 25 c. szer., ułożoną w fałdki. Rękawy wykończyć podług ryc. Po umocowaniu w tylnej części 3-ch  $\dagger$  na jednej kropce, przyszyć tamże wstążkę do wiązania w pasie, oraz do bluzki w miejscu oznaczonym \*, ufaldowaną część 135 c. dł. a 33 c. szer. wełnianego muszlinu, który tworzy z boku szarfę związaną na kokardę.

### Suknia z gorsecikiem haftowanym.

Rycina Nr 27.

Suknia z bengaliny krepowanej koloru niebies-



Nr 37 i 38. Suknia dla panienki od 13—lat.

Nr 39—41. Suknia z muszlinu jedwabnego ubrana koronką i kapelusz dla młodej osoby. (Wzór kroju fig. I, pierw. str. tabl.)

### Przepisy gospodarskie.

#### Biszamel z chrzanem.

Zwyczajny biszamel robi się w następujący sposób: Cwierć funta młodego masła przesmarzyć z łyżką maki, rozprowadzić dwoma łyżkami bulionu i dolewać po trochu pół kwarty słodkiej śmietanki przegotowanej poprzednio, posolić, rozcierając ciągle w rondlu kopystką, gotować długo do gęstości, pilnując, aby się nie przypaliło. Gdy ostygnie zaprawić czterema żółtkami rozbitymi z łyżką śmietanki, pozostawionej od pół kwarty. Chcąc mu nadać smak ostry, szczególnie przy cielecinie, indyku lub rybce „au gratin”, sypie się parę łutów tartego parmezanu. Doskonałą odmianą jest, użyć się jednak dającą tylko w biszamelu do sztuki mięsa lub cieleciny; wziąć na biszamel z pół kwarty śmietanki jeden gruby korzonek chrzanu, utrzeć na tarce, sparzyć ukropem, wycisnąć z niego tak mocno, aby chrzan był suchy i wymieszać z biszamelem, szczególnie, jeżeli biszamel za rzadki, od razu go to zgęszcza. L. C.

#### Obiad na Niedzielę.

1. Zupa wiśniowa z grzankami.
2. Połędwica z makaronem i kartoflami.
3. Kalafiory.
4. Kapłon z serdelami.
5. Suflet z malin.

UWAGA. Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w N-rze dzisiejszym dołączoną była do zeszłego N-ru „Bluszczu.”